



PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XXI.

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XXI

304965

RODZINA POŁANIECKICH
CZEŚĆ VII.

WARSZAWA

NAKLAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

(DODATEK BEZPŁATNY)

1900



78957 L-P

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Ноября 1899.

LII.

Nazajutrz pani Polaniecka odebrała list od męża, że tego dnia nie wróci, jedzie bowiem oglądać kolonię, położoną z drugiej strony miasta. Następnego za to dnia wrócił i przywiózł z sobą Świrskiego, który oddawna był obiecał Bigielom i Polanieckim, że ich na letniem mieszkaniu odwiedzi.

— Wyobraź sobie, — rzekł po przywitaniu się z żoną Polaniecki — że ten Buczynek, który oglądałem, leży o miedzę od Jaśmienia starego Zawilowskiego; dowiedziawszy się o tem, odwiedziłem staruszkę, który ma się niedobrze — i niespodzianie znalazłem w Jaśmieniu pana Świrskiego. Pomógł mi oglądać Buczynek, i dom bardzo mu się podobał. Jest też ładny ogród, duży staw i trochę lasu. Niegdyś był to znaczny majątek, ale grunta rozprzedano, tak, że przy dworze mało się pozostało.

— Ładna, bardzo ładna rezydencja — rzekł

Swirski. — Dużo cienia, dużo powietrza i dużo spokoju.

— Kupisz? — spytała Marynia.

— Być może. Tymczasem chciałbym nająć. Zamieszkalibyśmy tam przez resztę lata i przekonali się, czy nam dobrze. Właściciel tak jest pewien, że nam się tam pobyt spodoba, iż zgadza się na wynajęcie. Byłbym mu zaraz dal zadatek, ale wolalem wiedzieć, co o tem myślisz.

Maryni żal było trochę towarzystwa Bigielów, ale, zauważywszy, że mąż patrzy pilnie w jej oczy i że ma widocznie ochotę zamieszkać przez resztę lata u siebie, oświadczyła, że zgadza się najchętniej.

Bigielowie poczęli się sprzeczać i kłaść veto, lecz gdy Polaniecki przedstawił im, że tu chodzi o wypróbowanie domu, w którym prawdopodobnie oboje z Marynią będą mieszkali każdego lata, do końca życia, musieli przyznać, że powód jest słuszny.

Polaniecki zaś rzekł:

— Jutro tedy najmę i co potrzeba jeszcze ze sprzętów przeniosę z Warszawy, a pojutrze będziemy się mogli przenieść.

— To zupełnie, jakby pan chciał stąd jak najprędzej uciec — odpowiedziała pani Bigielowa: — po co taki pośpiech?

Ostatecznie stanęło na tem, że państwo Polanieccy przeniosą się za cztery dni do Buczynka. Tymczasem podano obiad, podczas którego Świrski począł opowiadać, jakim sposobem Polaniecki znalazł go w Jaśmieniu u Zawilowskich.

— Panna Helena chciała, — rzekł — żebym malował portret ojca, i życzyła sobie, żeby to mogło odbywać się w Jaśmieniu. Pojechałem, bo mi i tęskno za robotą, a przytem staruszek ma ciekawą głowę. Ale nie mogło z tego nic być. Oni tam we dworze mają dwulokciowe mury, przez co w pokojach źle światło. W tych warunkach nie chciałem malować, a następnie znalazła się i druga przeszkoda, bo model dostał ataku pedogry. Doktor, którego wzięli z sobą na wieś, mówił mi, że to stan nie jest dobry, i że się może źle skończyć.

— Żal mi pana Zawilowskiego, — rzekła Marynia — bo to widocznie zacny człowiek. I panna Helena biedna. W razie jego śmierci zostanie zupełnie sama. A czy on zdaje sobie sprawę ze swego stanu?

— I zdaje i nie zdaje, jak to on: zawsze oryginał. Niech pani spyta męża, jak go przyjął.

Polaniecki uśmiechnął się i rzekł:

— Zwiedzając Buczynek, dowiedziałem się, że Jaśmień tuż, i postanowilem tam pojechać.

Panna Helena zaprowadziła mnie do ojca, ale on kończył sobie właśnie różaniec i nie przywitał się ze mną, póki nie odmówił ostatniej Zdrowaśki. Potem zaczął mnie przeproszać i powiada tak: «Bo to tam matadory niebieskie swoją drogą, a z Nią człek śmielszy i po staremu: jak Ona się zmiłuje, to i dobrze, bo Jej niczego nie odmówią».

— Co to za typ! — zawołał Świrski.

Bigielowie poczęli się śmiać, pani Marynia rzekła jednak, że jest w takiej ufności coś wzruszającego, na co Świrski zgodził się, Połaniecki zaś mówił dalej:

— Potem wspomniał mi, że mu czas myśleć o testamencie, a ja nie zaprzeczałem, jak się zwykle robi, bo mi chodziło o naszego Zawilka. Powiedziałem mu natomiast, że to jest kwestya czysto prawna, na którą nigdy nie za wcześnie — i że nawet zupełnie młodzi ludzie powinni o tem myśleć.

— To i moje zdanie — wtrącił Bigiel.

— Mówiliśmy też i o młodym Zawilowskim — rzekł Połaniecki: — staruszek pokochał go serdecznie.

— Jakże! — zawołał Świrski. — Jak się dowiedział, że byłem w Przytułowie, zaraz zaczął się o niego dopytywać.

— To pan był w Przytułowie? — spytała pani Polaniecka.

— Cztery dni, pani — odrzekł malarz. — Ogromnie lubię Osnowskiego.

— A panią Osnowską?

— O niej wypowiedziałem moje zdanie w Rzymie i, o ile pamiętam, rozpuściłem język, jak bicz.

— Pamiętam i ja. Był pan bardzo niegodziwy. Cóż młoda para?

— A nic. Szcześliwa. Ale jest tam panna Ratkowska: ogromnie miła panna! Bez mała, żem się w niej nie zakochał.

— Masz tobie! A mówił mi Staś, że pan się we wszystkich kocha.

— Stale, pani. To jest: stale we wszystkich, a zatem stale.

Bigiel, usłyszawszy to, zastanowił się dobrze i rzekł:

— To jest sposób, żeby się nigdy nie ożenić.

— Niestety, drogi panie! — zawołał Świrski. — To też i jest.

Poczem, zwróciwszy się do Maryni, rzekł:

— To może pan Stanisław mówił pani i o dalszej naszej umowie? Jak mi pani powie: «Żeń się!» — żenię się! Taki był układ z pani mężem, i dlatego chciałbym, żeby pani zobaczyła pannę Ratkowską. Jej na imię Stefania, to znaczy:

Uwieńczona. Ładne imię, prawda? Ciche jakieś stworzenie, nieśmiale, bojące się pani Anety i panny Castelli, ale widocznie poczciwe. Miałem tego dowód. Jak chodzi o jaką pannę, to wszystko uważam i notuję w pamięci. Przyszedł raz przy mnie do Przytułowa żebrak, z twarzą, jak jaki pustelnik z Tebaidy. Pani Osnowska i panna Castelli powypadały do niego z aparatami fotograficznymi, i nuż go fotografować z boków, z przodu — ile weszło, a staremu może się chciało jeść. Poddawał się w nadziei jalmużny, ale było mu widocznie przykro. Prości ludzie mają tego rodzaju pojęcia. Otóż żadna z tych pań tego nie spostrzegła, a przynajmniej na to nie zważała. Obchodziły się z nim, jak z rzeczą — i dopiero panna Ratkowska powiedziała im, że starego upokarzają i męczą. To mała rzecz, ale dowodzi serca i delikatnych uczuć. Kręci się tam koło niej ten piękny Kopowski, ale ona nie zachwyca się nim tak, jak te panie, które się nim bawią, malują go, wymyślają dla niego kostiumy, przebierają i nieledwie na ręku noszą, jak lalkę. Nie. Ona mi sama powiedziała, że ją Kopowski nudzi, i to mi się także podoba, bo on ma tyle rozumu, ile galka u laski.

— Pan Kopowski — rzekł Bigiel — potrzebuje, o ile slyszalem, pieniędzy, a panna Rat-

kowska niebogata. Wiem, że jej ojciec, umierając, został dłużny bankowi sumę, która z procentami wyniosłaby do dnia ostatniego ubiegłego miesiąca...

— Co nam do tego? — przerwała pani Bigielowa.

— Właściwie, to masz słuszność; to nie nasza sprawa.

— A jak wygląda panna Ratkowska? — spytała Marynia.

— Panna Ratkowska? Ona nie jest piękna, ale ma słodką twarz, bladą cerę i ciemne oczy. Pani ją zobaczy, bo te panie mówiły, że mają chęć wpaść tu któregokolwiek dnia. A ja namawiałem, bo mi chodziło o to, żeby ją pani zobaczyła.

— Dobrze! — odpowiedziała, śmiejąc się, Marynia. — Zobaczę i wydam wyrok. Ale jeżeli będzie pomyślny?

— Oświadczam się, słowo daję! W najgorszym razie dostanę odkosza. Jeśli pani powie: «Nie» — to pojedę na kaczki! W końcu lipca można już strzelać...

— O to poważne zamiary! — rzekła pani Bigielowa: — żona albo kaczki! Pan Zawilowski takby się nie wyraził.

— Bo i po co rozumować, skoro się kocha? — rzekła Marynia.

— Ma pani słusznosc, to tez ja mu zazdro-
szcze — nie panny Castelli, chociaż sam się
w niej kochalem — o nie! ale właśnie tego stanu,
w którym się już nie rozumuje.

— A cóż pan ma przeciw pannie Castelli?

— Nic, pani. Winienem jej wdzięczność, bom
dzięki jej miał swoją porę złudzeń. Dlatego nie
będę o niej nigdy źle mówił, chyba mnie ktoś
bardzo pociągnie za język — więc niech mnie
panie nie ciągną.

— Ale owszem! — rzekła pani Bigielowa. —
Musi nam pan o obojgu opowiadać. Proszę tylko
na werendę, bo kazalam tam podać kawę.

I po chwili znaleźli się na werendzie. Bigie-
lęta rozbiegły się różnokolorowem stadkiem mię-
dzy drzewami, kręcąc się naksztalt jasnych
motyli. Bigiel częstował Świrskiego cygarami,
Marynia zaś, korzystając z chwili, przysunęła
się do męża, który stał nieco z boku, i podniósł-
szy na niego swoje dobre oczy, spytała:

— Coś ty taki milezący, Stachu?

— Zmęczony jestem — odpowiedział. —
W mieście upał, a w naszym mieszkaniu można
się udusić. Nie mogłem spać, bo i Buczynek
zalazł mi do głowy.

— A ja ciekawam tego Buczynka — wiesz?
naprawdę ciekawam. Dobrześ zrobił, żeś go zo-
baczył i najął — bardzo dobrze.

I patrzała na niego z przymileniem, lecz, widząc, że wyglądał istotnie nie swój, rzekła:

— My tu zagadamy pana Świrskiego, a ty może pójdziesz trochę odpocząć.

— Nie... nie mógłbym zasnąć — odpowiedział Połaniecki.

Tymczasem Świrski mówił:

— Niema nic wiatru. Żadna gałązka ani się poruszy. Prawdziwy letni dzień! Czy państwo uważają, że w czasie upału i w chwilach takiej ciszy cały świat wydaje się jakby zamyślony? To, pamiętam, Bukacki zawsze mawiał, że jest w tem coś mistycznego — i że chciałby umierać w taki słoneczny dzień... ot, tak sobie siedzieć w fotelu, potem zasnąć i wsiąknąć w światło...

— I nie umarł w lato — zauważył Bigiel.

— Ale na wiosnę... i w pogodę. Przytem na ogół biorąc, nie męczył się, a to nadewszystko.

Tu umilkł na chwilę, poczem dodał:

— Bo śmierć — z tem się można i trzeba pogodzić, i to mnie nigdy nie oburzało; ale po co istnieje cierpienie, to dalibóg, przechodzi ludzkie pojęcie.

Nikt nie podniósł tej uwagi, więc Świrski, strzepnąwszy popiół z cygara, rzekł:

— Ale mniejsza z tem. Po obiedzie i przy czarnej kawie można znaleźć weselszy temat.

— O Zawilku, niech nam pan powiada o Zawilku! — zawolala pani Bigielowa.

— Zawilek podoba mi się. Widać we wszystkim, co on robi i mówi, lwi pazur — i wogóle to niepospolita organizacya... ogromnie bujna. Przez te parę dni w Przytulowie poznaliśmy się trochę bliżej i zaprzyjaźnili. Nie macie państwo pojęcia, jak Osnowski go pokochał. I z nim, z Osnowskim, mówilem otwarcie, że się boję, czy taki Zawilek może być szczęśliwy z temi paniami.

— Ale dlaczego, panie? — spytała Marynia.

— To tak trudno określić, gdy się nie ma żadnych faktów. Ale to się czuje. Dlaczego?... Bo one to są natury zupełnie odmienne. Widzi pani, te wszystkie wyższe aspiracye, które dla Zawilowskiego są duszą życia, dla tych pań są tylko przyborem, czemś w rodzaju koronki przy sukni. To się wkłada od gości, a na codzien chodzi się w szlafroku — i to już jest ogromna różnica. Boję się, czy zamiast poszybować jego lotem, one nie będą chciały, by dreptał przy nich ich gęsim truchcikiem — i czy tego, co w nim jest, nie rozmieniają na drobne dla opędzenia swoich codziennych towarzyskich wydatków. A przecież w nim coś jest! Nie przypuszczam, żeby miały nastąpić jakieś katastrofy, bo nie mam prawa odmawiać im zwykłej,

zdawkowej uczciwości, ale może nie być szczęścia. Powiem państwu tylko tyle: znacie przecie wszyscy Zawilka i wiecie, że jest ogromnie prosty, a jednak, podług mnie, jego miłość jest dla Castelki za trudna i zanadto wyłączna. On kładzie w to całą duszę, a ona... cząsteczkę gotowa oddać — tak!... ale resztę radaby zachować na stosunki towarzyskie, na wygody, na tualety, na bywanie, na luksus, na «five o'clocki», na «lawn-tennisa» z panem Kopowskim, słowem, na ów mlynek, w którym się życie pytluje na otręby...

— To może się nie stosować do panny Castelli, i jeśli się nie stosuje, to tem lepiej dla Zawilowskiego, — rzekł Bigiel — ale wogóle to jest trafne.

— Nie, — odpowiedziała pani Bigielowa — to przedewszystkiem jest niegodziwe: pan naprawdę nienawidzi kobiet.

— Ja nienawidzę kobiet! — zawołał Świrski, wznosząc obie ręce ku niebu.

— To chyba pan nie widzi, że pan z panny Castelli robi zwyczajną gąskę.

— Ja, pani, dawałem jej tylko lekcyje malowania, ale wychowaniem jej nie zajmowałem się nigdy.

A pani Marynia, słysząc to wszystko, rzekła, pogroziwszy Świrskiemu;

— To aż dziwne, żeby taki dobry człowiek miał taki zły język.

— W tem jest pewna słuszność — odpowiedział Świrski; — ja sam to czuję i nieraz zadawałem sobie pytanie: czy ja naprawdę jestem dobry człowiek? Ale myślę, że jestem. Bo są ludzie, którzy obmawiają bliźnich przez zamilowanie do grzebania w błocie — i to jest plugawe; są inni, którzy to czynią przez zazdrość — i to jest równie plugawe. Taki jednak Bukacyusz obgadywał dla konceptu, a ja... ja, na-przód jestem gadatywus, powtóre, człowiek, a zwłaszcza kobieta, zajmuje mnie więcej, niż wszystko inne, a nakoniec, lichota, płaskość i małe marności natury ludzkiej ogromnie mnie gryzą. I dalibóg, że to z tego idzie. Jabym chciał, żeby wszystkie kobiety miały skrzydła, więc, jak widzę, że niektóre mają tylko ogony, tak z samego zdziwienia poczynam krzyczeć w niebogłósy.

— A czemu pan tak samo nie krzyczy na mężczyzn? — spytała pani Bigielowa.

— A niech ich tam! Co oni mnie obchodzą! Przyczem, mówiąc poważnie, może nam się należy więcej, niż paniom.

Tu i pani Bigielowa i Marynia napadły na nieszczęśliwego malarza, lecz on począł się bro-nić i mówił dalej:

— Niech panie wezmą takiego Zawilowskiego i taką pannę Castelli. On napracował się od dzieciństwa, nałamał się z trudnościami, namyślał się, dał już coś światu, a ona co? Czysty kanarek w klatce!... Dadzą mu wody, cukru, mchotrzepu i siemienia, a on ma tylko rozczesywać dziobkiem swoje żółte piórka i świegotać. Alboż tak nie jest? My ogromnie pracujemy, pani! Cywilizacya, nauka, sztuka, chleb i wszystko, na czem świat stoi, to ostatecznie nasze dzieło. A to przecie bajeczny trud! O tem się łatwo mówi, ale się ciężko dźwiga. Czy to jest słuszne, albo naturalne, że was od tego odsuwają, nie wiem, i w tej chwili nie o to mi chodzi, ale, na ogół biorąc, wam się został tylko jeden dział: kochanie — więc umiejcie przynajmniej kochać.

Tu smagła twarz jego przybrała wyraz wielkiej lagodności, a zarazem jakby melancholii.

— Ot, ja naprzykład, pracuję niby dla tej naszej sztuki. Dwadzieścia pięć lat mażę tam i mażę tym pędzlistkiem po papierze, albo po płótnie, i Bóg jeden wie, com się napiłował, nimem z siebie coś wydobyl; tymczasem czuję się samotny na świecie, jak palec. A czegoż chcę? Oto żeby mi Pan Bóg za całą tę pilę dał jakie pocziwe kobieciątko, któreby mnie trochę kochało i było wdzięczne za moją miłość!

— To czemuż się pan nie żeni?

— Czemu? — odparł z pewnym wybuchem Świrski: — bo się boję, bo z was jedna na dziesięć umie kochać, choć nie macie nic innego do roboty.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie pana Pławickiego z panią Maszkową, która w fularowej, ciemno-niebieskiej sukni w białe kropki, wyglądała z daleka jak motyl. Pan Pławicki wyglądał jak drugi motyl i, zbliżywszy się do ganku, począł wolać:

— Porwałem, porwałem panią Maszkową i przyprowadzam. Dobry wieczór państwu, dobry wieczór, Maryniu! Jadę tu sobie do was dorożką, aż patrzę: pani stoi na ganku — więc porwałem, i przyszlismy piechotą. Dorożkę odprawilem, bo myślę, że mnie odeślecie.

Obecni poczeli witać panią Maszkową, ona zaś, zarumieniona przechadzką, poczęła tłumaczyć się wesolo, zdejmując kapelusz ze swych popielatych włosów, że istotnie pan Pławicki porwał ją niemal przemocą, gdyż, spodziewając się powrotu męża, nie chciała opuszczać domu. Pan Pławicki uspokajał ją, że mąż, nie znalazłszy jej w domu, domyśli się, gdzie jest, a za porwanie i za przechadzkę sam na sam nie będzie się gniewał, bo to przecie nie jest miasto, gdzie ludzie robią plotki z lada powodu, — (tu począł pociągać swoją białą kamizelkę z miną

człowieka, który nie dziwilby się, gdyby robiono o nim plotki) — ale wieś, która ma swoje prawa i pozwala nie oglądać się na etykietę.

To rzekłszy, spojrzal filuternie na panią Maszkową, zatarł ręce i dodał:

— He, he! wieś ma swoje prawa... Dobrzem powiedział: ma swoje prawa, tak! — i dlatego dla mnie niema jak wieś.

Pani Maszkowa śmiała się, czując, że jej z tem ładnie i że ktoś może ją podziwiać. Lecz Bigiel, który, sam będąc w rozumowaniu ścisłym, wymagał od wszystkich logiki, zwrócił się do Pławickiego i rzekł:

— Jeśli niema jak wieś, to czemu pan dobrodziej nie chce na lato z miasta wyruszyć?

— Jak pan powiada? — spytał pan Pławicki. — Czemu nie chcę wyruszyć? Chciałem się wybrać do Karlsbadu, ale...

Tu umilkł na chwilę i, zapomniawszy, że dopiero co dawał do zrozumienia, iż mógłby jeszcze młodą kobietę narazić na złe języki ludzkie, spojrzal z posępną rezygnacją i dodał:

— Czy warto dbać o te parę lat życia, o które ani mnie, ani nikomu nie chodzi.

— Masz tobie! — zawołała wesolo Marynia. — Jeśli tatuś nie pojedzie do Karlsbadu, to będzie pił Millbrun u nas w Buczynku.

— W jakim Buczynku? — spytał Pławicki.

— Prawda, trzeba ogłosić «la grande nouvelle!»

I poczęła opowiadać, że Buczynek został wyszukany, najęty, że prawdopodobnie będzie kupiony, i że za cztery dni oboje z mężem przenoszą się do tego Buczynka na całe lato.

Lecz pani Maszkowa, wysłuchawszy opowiadania, podniosła ze zdziwieniem swoje oczęta na Polanieckiego i, patrząc na niego, spytała:

— Więc państwo naprawdę nas opuszczają?

— Tak jest — odrzekł, jakby z pewną opryskliwością.

— Aa!

I przez chwilę patrzała na niego wzrokiem osoby, która nie rozumie i która pyta, co to wszystko znaczy; lecz nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, zwróciła się do Maryni i poczęła obojętną rozmowę.

Była tak wdrożona w formy światowe, że sam tylko Polaniecki mógł poznać, że wiadomość o Buczynku przenikła przez te pokłady, które, tworząc jakby pokrowiec na jej mózgu, przytępiły jego czulość. Domyśliła się jednak, że jej osoba może tu wchodzić w grę, i że te nagle przenosiny mogą stać z nią w związku. Z każdą minutą prawda ta przedstawiała jej się coraz jaśniej — i chłodna jej twarz przybrała wyraz jeszcze chłodniejszy. Stopniowo

ogarniało ją uczucie upokorzenia. Zdawało się jej, że Polaniecki zrobił coś wprost przeciwnego temu, czego miała prawo od niego oczekiwać — i że uchybil ciężko nietylko jej, ale tym wszystkim względom, jakie człowiek pewnej sfery winien kobiecie. I cała jej dusza odmalowała się w tem, że zabolalo ją to mocniej, niż jego odjazd. W pewnych razach kobiety wymagają tem więcej względów, im mniej im się należy, i tem więcej czci, im mniej na nią zasługują, bo potrzeba im tego do oszukiwania samych siebie; a równie często zaślepienie, delikatność lub komedyanctwo mężczyzny przyznaje im wszystko, czego żądają — przynajmniej do czasu. Jednakże, w tym zamiarze przeprowadzenia się za kilka dni, we wprost przeciwną stronę miasta; była jakby godna gbura zapowiedź zerwania stosunku. Wiariolomstwo niewa swoje tego rodzaju *zapowiedzi* a posteriori — i niewa zawsze, albowiem niema w świecie przykładu, by stosunek, oparty na wiariolomstwie, ostal się. Ale tym razem grubijaństwo przeszło wszelką miarę, i siejba wydała zbyt wczesnie właściwe żniwo. Malo lotna z natury myśl pani Maszkowej nie potrzebowała zbyt wielu wysileń, by dojść do wniosku, że to, co ją spotkało, nazywa się poprostu pogardą.

A w tym samym czasie i Polaniecki myślał:

— Jak ona bajecznie musi mną pogardzać!
Oboje zaś nie zdawali sobie w tej chwili sprawy, że to, w najlepszym razie, była tylko kwestya czasu.

Lecz pani Maszkowa chwytala się jeszcze nadziei, że to może być jakieś nieporozumienie, jakiś chwilowy gniew, jakaś drażliwość fantasty, jakaś obraza, której nie umiała sobie wytlómaczyć, słowem, coś takiego, co może być mniej stanowczem, niż się pozornie wydaje. Jedna rozmowa, jedno słowo, rzucone odpowiednio, mogło jeszcze wszystko wyjaśnić. Sądząc, że i Polaniecki może odczuwa potrzebę takiej rozmowy, postanowiła mu ją ułatwić.

Więc po herbacie poobiedniej poczęła się zbierać do domu i, spojrzawszy na Polanieckiego, rzekła:

— A teraz muszę prosić którego z panów, by mnie odprowadził.

Polaniecki wstał. Zmęczona, a zarazem gniewna jego twarz zdawała się mówić pani Maszkowej: «Jeśli chcesz szczerą prawdę, będziesz ją miała», — lecz niespodzianie Bigiel pomieszał im szyki, rzekłszy:

— Wieczór taki pogodny, że możemy wszyscy panią odprowadzić.

I tak się stało. Pan Plawicki, uważając się dziś za rycerza pani Maszkowej, podał jej z wielką

galanterią rękę i przez całą drogę zabawiał ją rozmową, tak, że do Połanieckiego, który prowadził panią Bigielową, nie miała sposobności ani słowa przemówić, prócz «dobranoc» przy bramie.

Temu «dobranoc» towarzyszył uścisk ręki, który był nowem pytaniem — bez odpowiedzi. Połaniecki zresztą rad był, że nie potrzebuje dawać objaśnień. Mógł dać tylko mętne, a przedewszystkiem przykre. Pani Maszkowa już obecnie budziła w nim tyleż duchowego niesmaku, ile fizycznego pociągu, i z obu tych przyczyn uważał, że pozostawszy w domu Bigielów, będzie ją miał zbyt blisko. Zresztą wyszukał Buczynek i wynajął go głównie z tego powodu, że natury sprężyste, naciśnięte zbyt silnie, instynktowo muszą coś przedsiębrać i działać, choćby owo działanie nie było w bezpośrednim związku z tem, co im dolega. Nie miał jednak bynajmniej poczucia, że ucieczka od niebezpieczeństwa równa się powrotowi na uczciwą drogę, lub nawet prowadzi do niej; w tej chwili zdawało mu się, że na to za późno, że to jest rzecz przepadła raz na zawsze. «Uciekać — mówił sobie — był na to czas. Obecnie jest to tylko egoizm zwierzęcia, które, zaniepokojone w jednym legowisku, szuka sobie drugiego». Zdradziwszy oto poprzednio Marynię, zdradza teraz

panią Maszkową, z obawy, by stosunek z nią nie stał się zbyt męczącym — i zdradza w sposób zarówno nędzny, jak gruby, deprecjacyjnie po niej. To tylko nowa podłość, której dopuszcza się jak desperat, w przekonaniu, że, jakkolwiekby się wysiłał, stoczy się zawsze w przepaść.

Na dnie tych myśli kryło się jednak niezmiernie zdumienie. Gdyby to wszystko zdarzyło się komu innemu, biorącemu życie lekko, taki mógłby machnąć ręką i uważać, że spotkał go jeden więcej wesoly wypadek. Polaniecki rozumiał, że wielu patrzyłoby na sprawę w ten właśnie sposób. Ale on wyrobił był w sobie zasady, miał je — i spadł z całej ich wysokości, zatem jego upadek był tem większy. «Więc — myślał sobie — to, com zdobył, do czegoś doszedł, ostatecznie od niczego nie broni. Mając to, kręci się kark, tak jakby się niczego nie miało». I rzecz ta wydawała mu się wprost nie do pojęcia. Dlaczego? z jakiej przyczyny? Na to pytanie nie umiał sobie odpowiedzieć i, zwątpiwszy poprzednio o swej uczciwości i honorze, począł teraz wątpić o rozumie, czuł bowiem, że nie może tu czegoś uchwycić i uświadomić.

Wogóle zaś czuł się człowiekiem straconym w jakąś duchową pustkę, który nie może niczego odnaleźć, nawet przywiązania do żony. Wydało mu się, że, zatraciwszy w sobie wszystkie ludz-

kie strony, zatracił zarazem zdolność i prawo do kochania jej. Z niemniejszym też zdziwieniem spostrzegł, że w głębi serca żywi jakby urazę do niej za swój własny upadek. Dotychczas nie skrzywdził nikogo w życiu, nie mógł więc wiedzieć, że zwykle czuje się urazę, a nawet nienawiść, do tego, komu się czyni krzywdę.

Tymczasem towarzystwo, po pożegnaniu pani Maszkowej, wracało do domu. Marynia szła teraz obok męża, ale, przypuszczając, że jest zajęty obliczeniami, tyczącemi kupna kolonii, i pamiętając, że w takich razach nie lubił, gdy mu przeszkadzano, nie przerywała milczenia. Wieczór był tak ciepły, że po powrocie zostali jeszcze na ganku. Bigiel począł zatrzymywać Świrskiego na noc, żartując przytem, że taki Herkules nie pomieści się w jego bryczuszce obok pana Plawickiego. Polaniecki, któremu obecność kogoś obcego była na rękę, poparł nalegania Bigiela.

— Niech pan zostanie, — rzekł — ja jutro rano jadę do miasta, więc zabierzemy się razem.

— Pilno mi tylko do malowania — odpowiedział Świrski. — Jutro chciałem się zabrać od rana do roboty, a w ten sposób będzie marudztwo.

— Czy pan ma jaką terminową robotę? — spytała Marynia.

— Nie, pani, ale ręka wychodzi z wprawy. To jest tego rodzaju rzemiosło, że w niem nigdy nie wolno odpoczywać; straciłem już tyle dni na włóczędzie, to do Przytulowa, to do państwa, a farby tymczasem schną.

Obie panie poczęły się śmiać, że to mówi sławny mistrz, który przecie powinien być wolny od obawy, że zapomni malować. Lecz Świrski odrzekł:

— To się tak zdaje, że gdy się dojdzie do pewnej doskonałości, to się ją posiada. To dziwna rzecz ten ludzki organizm, który ma tylko do wyboru: albo iść naprzód, albo się cofać. Nie wiem, czy tak we wszystkim, ale w artyzmie nie wolno powiedzieć sobie: »Już dobrze!» — nie wolno stanąć. Jak przez tydzień nie maluję, nietylko tracę biegłość łapy, ale nie czuвам się w mocy. Ręka tępieje — to jeszcze rozumiem! — ale przytem tępieje i zmysł artystyczny, tępieje poprostu talent. Myślałem, że to tak jest tylko w moim zawodzie, bo w nim ogromnie dużo znaczy technika; ale dacie państwo wiarę, że ten Śniatyński, który pisuje do teatru, mówił mi to samo. A w takiej literaturze na czemże polega technika? Na tem chyba, żeby jej nie mieć, albo przynajmniej, żeby jej nie było widać. Jednak i tamten gadał, że nie może stanąć, że cofa się lub postępuje w miarę

wysień. Służba sztuce! — to ładnie brzmi. Ach, co za psia służba, w której nigdy niema spoczynku i nigdy spokoju! Nic, tylko mozól i strach! Czy to już przeznaczenie całego ludzkiego pogłowia, czy tylko my jesteśmy takie zamęczone figury...

Świrski wprawdzie nie wyglądał wcale na zamęczoną figurę, nie wpadał też w ton patetyczny, narzekając na swoje rzemiosło; ale w rozmachanych słowach jego była jakaś szczerłość, która czyniła je zajmującymi. Po chwili podniósł pięść i, wygrażając nią księżycowi, który właśnie ukazał się nad lasem, zawołał nawpół wesolo, nawpół ze złością:

— Ot, taka pyza! Jak raz nauczyła się kręcić kolo ziemi, tak już jest pewna swojej sztuki. Żeby choć jedną taką chwilę mieć w życiu!

Pani Marynia poczęła się śmiać i, podniósłszy mimowoli oczy w kierunku ręki Świrskiego, rzekła:

— Niech pan nie narzeka. To nietylko artystom nie wolno stanąć. Czy się pracuje nad obrazem, czy nad samym sobą, to wszystko jedno, a pracować trzeba, każdej godziny, bo inaczej byłoby źle.

— Ogromnie trzeba pracować! — przerwał z westchnieniem pan Plawicki.

Lecz ona mówiła dalej, szukając z pewnem

wysileniem jakiegoś porównania i podnosząc przytem brwi:

— I widzi pan, gdyby ktoś choć na chwilkę powiedział sobie: «Jestem dostatecznie mądry i dość dobry» — to już to samo nie byłoby mądre, ani dobre. Oto mnie się wydaje, że my wszyscy płyniemy przez jakąś głębinę, gdzieś do lepszego brzegu, ale kto tylko chce odpocząć i przestanie poruszać rękoma, tego zaraz własny ciężar ciągnie na dno.

— Frazesy! — rzekł nagle Polaniecki.

Ona zaś, rada z trafności porównania, odpowiedziała:

— Nie, Stachu! jak ciebie kocham, tak to nie frazesy!

— Dalby Bóg tylko zawsze takie slyszeć — rzekł żywo Świrski. — Pani ma zupełną słuszość.

Lecz Polaniecki w gruncie rzeczy również był przekonany, że ona ma słuszość — i, co większa, w tych ciemnościach, które go otaczały, poczęło coś błyszczeć naksztalt światelka. Oto on właśnie powiedział był sobie: «Jestem dostatecznie mądry, dostatecznie dobry — i mogę odpocząć» — oto on właśnie zapomniał o konieczności ciągłego wysiłku, on zaprzestał poruszać rękoma na głębinie, i wnet własny ciężar pociągnął go na dno. Tak było! Wszystkie

te wysokie religijne i moralne zasady, które zdobył, zamknął w swej duszy tak, jak zamykał w kasie pieniądze — i uczynił z nich martwy kapitał. Miał je, ale jakby na składzie. Wpadł w zaślepienie skąpca, który cieszy się nagromadzonem złotem, ale żyje, jak nędzarz. Miał je, ale z nich nie żył — i zaufawszy swemu bogactwu, wyobraził sobie, że jego życiowe rachunki są zakończone i że może spocząć. A teraz poczynął się jakby brzask wśród tej nocy, która zalegała jego umysł, i z cienia poczęła się wychylać ku niemu mglista jeszcze i niewyraźna prawda, że tego rodzaju rachunki nie mogą być nigdy zamknięte — i że to jest ogromna, codzienna i nieustanna praca, która, jak mówi Marynia, kończy się dopiero tam, gdzieś, na drugim, lepszym świecie...

LIII.

— Mój drogi panie, czemu pan się tak nie ubiera, jak pan Kopowski? — mówiła do Zawilowskiego pani Broniczowa. — Naturalnie, że Niteczka ceni więcej pańskie poezye, niż wszelkie na świecie ubrania, ale pan nie uwierzy, jaki to malec estetyczny i jak ona się dosko-

nale zna nawet na takich rzeczach. Wczoraj biedactwo przyszło do mnie i pyta z taką słiczną minką, że gdyby ją pan widział, toby się pan rozplynął: «Ciociu, — pyta — czemu pan Ignas nie ma na rano białego flanelowego kostiumu? Wszystkim panom tak ładnie w tych kostiumach!» Niech pan sobie coś podobnego sprawi, ona będzie rada. Widzi pan, że i Józio Osnowski ma flanelowy kostium — on nawet ma kilka, przez kokieterię względem Anetki. To są małe rzeczy — wiem! — ale kobiety to ogromnie ujmuje, gdy się zważa na ich wymagania. Pan nie ma pojęcia, jak ona wszystko widzi. W Scheveningen wszyscy do południa chodzą w takich kostiumach, i jej byłoby przykro, gdyby ktoś pomyślał, że pan nie należy do towarzystwa, które wie, jak się ubierać. Pan taki dobry, pan sobie kupi taki kostium — prawda? Pan to dla niej zrobi — i nie weźmie mi za złe, że ja mówię o tem, co Niteczka lubi?

— Ach, pani — rzekł Zawilowski: — najchętniej!

— Jaki pan pozeiwy! Ale! co to jeszcze chciałam powiedzieć?... Aha! — i ładny nécessaire podróżny z żółtej skóry? — dobrze? — mój drogi panie! Niteczka ogromnie lubi ładne sakwojaże u panów; a za granicą, jak kogo widzą, tak go piszą... Wczoraj — powiem panu

w sekrecie — oglądałyśmy nécessaire pana Koppowskiego! Bardzo ładny i w dobrym guście... kupiony w Dreźnie. Niteczce bardzo się podobał. Niech go pan zobaczy i niech pan sobie kupi coś w tym rodzaju. Przepraszam, że ja się w to wdaję, ale to bagatela. Widzi pan, ja znam i kobiety wogóle, i Niteczkę. Z nią niema lepszej metody, niż ustępstwa w małych rzeczach. Gdy chodzi o wielkie rzeczy, ona się potrafi wszystkiego wyrzec. Przecie pan słyszał, jakie ona miała partye do wyboru, a jednak wybrała pana. Niechże jej pan za to okazuje wdzięczność choć w drobiazgach. Czy pan, jako psycholog, nie zauważył, że natury, zdolne do wielkich poświęceń, zachowują się właśnie na wyjątkowe okazyje, a w życiu codziennem lubią, żeby im dogadzano?

— Być może, pani; dotąd jakoś nie zastanawiałem się nad tem.

— O, z pewnością tak jest, i taka jest właśnie natura Niteczki. Pan nie jest jeszcze w stanie ocenić, co to za natura, choć powinienby pan ocenić przez to samo, że pana wybrała. Ale wy, mężczyźni, nie umiecie odczuć tylu odcieni! Jakby przyszło co do czego, zobaczyłby pan dopiero, jak w niej nie niema egoizmu. Niech ją Pan Bóg ochroni od wszelkich prób, ale, gdyby przyszło co do czego, zobaczyłby pan.

— Pani, — odparł z pewną żywością Zawilowski — wiem, że pani ceni pannę Niteczkę, ale jednak i pani nie myśli o niej tyle dobrego, ile ja.

— Ach! jak ja pana kocham, gdy pan takie rzeczy mówi! — zawołała z radością pani Broniczowa. — Mój drogi panie! Ale jeśli tak, to mama jeszcze coś szepnie panu do ucha: oto ona pasyami lubi u panów czarne jedwabne pończoszki, ale jedwabne! Niech pan zapamięta! Jej dość spojrzeć, żeby odróżnić, co jedwab, a co fil d'Ecosse! Mój Boże! niech mnie pan nie posądza, że ja się do wszystkiego chcę mieszać. Nikt się tak nie potrafi usuwać, jak ja, tylko chodzi o to, by Niteczka nigdy nie pomyślała, że pan pod jakimkolwiek względem nie dorównywa innym. Co pan chce! Bierze pan prawdziwą artystkę, która lubi, żeby wszystko, co ją otacza, było ładne. I doprawdy, ona przecie wcale nie będzie tak biedna, żeby nie miała do tego prawa. Cóż, panie?

Zawilowski wydobyl książeczkę do notatek i rzekł:

— Zapiszę sobie zlecenia pani, żebym czego nie zapomniał.

W słowach jego był odcień ironii. Pani Broniczowa swym nadmiarem słów, sposobem mówienia, a zwłaszcza swem zbyt widocznem za-

milowaniem w rzeczach powierzchownego zbytku, niecierpliwiła go częstokroć. Zawilowskiego raziło w niej jakby pewne parweniuszowstwo natury. Ponieważ nie wiedział, jakie gmachy pobudowała już na majątku starego pana Zawilowskiego, nie mógł wprost zrozumieć, jak kobieta delikatna mogła tak mało krępować się z nim w wymaganiach dla Niteczki, gdy szło o skalę ich przyszłego życia. Sądził przedtem, że będzie wprost przeciwnie, że te panie będą okazywały aż nazbyt wiele skrupulów i delikatności — i to było pierwsze jego rozczarowanie. Z drugiej strony bolał go zły smak, z jakim niemal codziennie pani Broniczowa wspominała o wielkich partyach, jakie Niteczka mogła porobić, i o wyrzeczeniach się, które dla niego uczyniła. Te *wyrzeczenia się* jeszcze nie miały miejsca. Zawilowski nie był zarozumiałcem, ale też nie nosił niżej głowy, niż było trzeba — i z tem, co w nim było, uważał się nie za gorszą, ale za lepszą partycję od takich Kopowskich, lub od rozmaitych Colimańców, Kanafaropulosów i tym podobnych zakazanych operetkowych figur. Wzburzała go sama myśl, że go śmiano z nimi porównywać, zwłaszcza na jego niekorzyść. Mając w duszy miłość i poezję, sądził, że ma to, czem i księżęta tej ziemi nie zawsze rozporządzają. Jakie będzie praktyczne ich życie

z Niteczką, o tem niewiele dotąd myślał, lub myślał tylko ogólnie, ale, czując w sobie siłę i gotowość do wzięcia się za czuby ze wszelkim losem, ufał, że będzie bujne. Targować się o ową bujność nie miał zamiaru i, gdy pani Broniczowa okazywała podobne chęci, musiał się powstrzymywać, by jej nie powiedzieć, że wydaje mu się to płaskiem.

Świrski, bawiąc w Przytulowie, wypowiedział raz dziwne zdanie, że miłość nie jest całkowicie ślepą, ale cierpi na daltonizm. Zawilowski sądził, że malarz, mówiąc to, miał na myśli Osnowskiego, nie przypuszczał zaś, że i sam jest doskonałym okazem człowieka, podległego temu cierpieniu. Oślepl jednak tylko w stosunku do panny Linety — poza nią widział wszystko i dostrzegał wszystko z większą jeszcze niż zazwyczaj bystrością. I niektóre spostrzeżenia przejmowały go zdziwieniem. Nie licząc obserwacyi nad panią Anetą, jej Józkiem i Kopowskim, zauważył naprzykład, że jego własny stosunek do pani Broniczowej poczyna się zmieniać — i że od czasu, jak stał się jej blizkim, jak oswajała się i spoufalala z nim, jako z przysłym krewnym i przysłym mężem Niteczki, poczynała mniej cenić jego osobę, jego dzieła, jego talent. Było to może dla zwykłego oka niewidoczne, ale dla Zawilowskiego wyraźne — nie umiał

zaś odpowiedzieć sobie, dlaczego tak jest. Przyszłość dopiero miała go nauczyć, że pospolite natury, zetknąwszy się z ludźmi lub rzeczami wyższemi, przez samo spoufalenie się, tracą dla nich szacunek, jakby okazując mimowoli, że to, co stało się im blizkiem, musiało tem samem zarazić się płaskością i lichotą i tem samem nie mogło pozostać wysokiem. Tymczasem pani Broniczowa rozczarowywała go coraz bardziej. Niecierpliwił go ów «wygodny» Teodor, mający w danym wypadku osłonić swą zagrobową powagą wszelki postępек. Zdumiewała go jakaś ptasia ruchliwość tego umysłu, który, chwytając wszystko w lot z dziedziny dobra i piękności, zmieniał zarazem wszystko w nieobowiązujące i puste słowa.

Dziwiła go nakoniec jej ogromna nieżyczliwość dla ludzi. Pani Broniczowa, niemal pokorna wobec starego Zawilowskiego, poufnie mówiła o nim z niechęcią; panny Heleny wprost nie lubiła; o pani Krasławskiej i pani Maszkowej odzywała się z wiecznym przekąsem, o Bigielach z lekceważeniem, szczególnie zaś solą w oku była jej pani Polaniecka. Pochwał, oddawanych Maryni przez Świrskiego, Zawilowskiego i Osnowskiego, słuchała z taką niecierpliwością, jakby były one zarazem ujmą dla panny Castelli. Zawilowski przekonał się, że

naprawdę pani Broniczowa nie lubi nikogo na świecie, prócz «Niteczki».

Ale to właśnie wynagradzało w jego pojęciu wszystkie jej ujemne właściwości. Nie pojął dotąd, że takie uczucia zawistne i wyłączne, które, zamiast rozszerzać serce dla ludzi, czynią je ciasnym i oschłym, są tylko dwugłowym egoizmem, i że taki egoizm może być równie grubym i nieużyтым, jak jednogłowy. Sam, kochając z całej duszy Linetę i czując się, od czasu, jak ją pokochał, lepszym i pobłażliwszym, sądził, że istota, która kocha prawdziwie, nie może być w gruncie rzeczy złą — i w imię wspólnej miłości przebaczał pani Broniczowej wszelkie jej braki.

Natomiast, w stosunku do panny Linety bystry ten obserwator nie umiał niczego dostrzedz. Potężniejsze dusze męskie czynią dlatego tyle nieszczęsnych omyłek w miłości, że przybierają kochane kobiety we wszystkie swoje promienie, nie zdając sobie następnie sprawy, że ten blask, od którego olśniewają, jest ich własny. Tak było i z Zawilowskim. Panna Lineta oswajała się codzień więcej i z nim, i ze swoją rolą narzeczonej. Ta myśl, że on ją wyróżnił, przeniósł nad inne, wybrał i pokochał, będąca niegdyś nieustannem żywym źródłem zadowolenia miłości własnej i dumy, poczyniała tracić dla niej

urok nowości i powszednieć. Wszystko, co było z niej można wydobyć na chwałę własną, już z pomocą pani Broniczowej wydobyła. Podziw ludzki został również, jak się wyraził Świrski — «zeskamotowany», a posąg był teraz tak blisko jej oczu, że, zamiast ogarniać jego całość, jąła wykrywać skazy na marmurze. Chwilami jeszcze, pod wpływem cudzych zdań, lub cudzych podziwów, odzyskiwała pamięć i świadomość jego miary, ale wówczas ogarniało ją jakby zdziwienie, że ten, pelen prostoty, rozkochany, patrzący w jej oczy i powolny na każde jej skinienie człowiek, jest owym Zawilowskim, nad którym nawet Świrski kręci głową, a którego taki Osnowski uważa za jakąś cenną własność publiczną. Ona przecie mogła go posłać w każdej chwili naprzykład po świeże truskawki, albo po włóczkę! I poczucie to sprawiało jej pewną przyjemność, a tem samem czyniło go jeszcze potrzebnym. Podziwiała w nim własną moc i czasem spowiadała mu się z tego rodzaju wrażeń bardzo szczerze.

Raz, gdy zaszli na wilgotne łąki, Zawilowski wrócił się dla niej po kalosze. Następnie, klękawszy przy olsze, nakładał je jej na nogi, które przytem całował. Wówczas ona, spoglądając na tę schyloną do swych stóp głowę, rzekła:

— Pana mają za wielkiego człowieka, a pan mi kalosze nakłada!

Zawilowski zaś podniósł na nią oczy i, rozbawiony zestawieniem, odpowiedział wesoło, nie wstając z klęczek:

— Bo ogromnie kocham!

— To dobrze, ale ciekawam, coby też ludzie na to powiedzieli?

I ta ostatnia kwestya zdawała się ją najbardziej zajmować. Zawilowski jednak począł z nią w tej chwili klótnię za to, że powiedziała mu: pan — i nie zauważył, że w tem jej: «To dobrze!» było jakby pewne roztargnienie, z jakim się pomija rzeczy mniejszej wagi, lub zbyt znane. Z podobnem też półbaczeniem słuchala tego, co mówił dalej, że nie będąc zarozumiałcem, uważa się za zwykłego człowieka, ale szanuje swój zawód i że za największe szczęście poczytuje właśnie takie życie, w którym można służyć wysoko, a kochać poprostu. W poczuciu tego szczęścia otoczył jej stan ramieniem, tak, aby to swoje proste kochanie mieć jak najbliżej piersi. Ale gdy przytem wystająca jego broda wysunęła się jeszcze bardziej naprzód, co zdarzało się zawsze, ilekroć mówił z uniesieniem, Castelka poczęła go prosić, by się od tego odzwyczajął, bo mu to nadaje surowy wyraz, a ona lubi koło siebie wesołe twarze. Za jedną drogą

przypomniała mu także, że wczoraj, wożąc ją po stawie i zmęczony się wiosłowaniem, oddychał przy niej bardzo głośno. Nie chciała mu tylko odrazu powiedzieć, jak jej to «dawało na nerwy». Jej byle co «daje na nerwy» — ale nie tak, jak gdy kto przy niej zmęczy się i głośno oddycha.

To mówiąc, zdjęła kapelusz i poczęła wachlować twarz. Powiew podnosił jej jasne włosy i w zielonawym cieniu olch, obrzucona tu i owdzie słońcem, wdzierającym się przez liście, wyglądała jak zjawisko. Zawilowski poił nią oczy, a w słowach jej podziwiał przede wszystkim wdzięk rozpieszczonego dziecka. Było może w nich coś więcej, ale on niczego więcej nie szukał i nie znalazł, właśnie dlatego, że miłość jego była, przy całej swej mocy, prosta.

Prostota jednak nie wylacza lotu. Panna Niteczka przyczepiła się istotnie jak pajęczyna do skrzydeł ptaka, który też mimowoli unosił ją na wysokości, gdzie każdy ruch serca trzeba odczuć, wszystko odgadnąć, wszystko zrozumieć, i gdzie myśl nawet musi się natężyć, aby dać wyraz uczuciu. A z panny Niteczki był «taki leniuszek!» Sama to niegdyś mówiła swemu Latawcowi, który teraz ani domyślał się, że owe wyżyny sprawiają jej tylko zawrót głowy i zmęczenie.

Zdarzało się teraz coraz częściej, iż, budząc się rano i myśląc o tem, że trzeba będzie spotkać się z narzeczonym i nastroić się od rana na jego wysoką nutę, doznawała takiego uczucia, jak dziecko, na które czeka trudna lekcya. Ona już tę lekcję wydała; już wypowiedziała mniej więcej wszystko, czego ją nauczono, i sądziła, że narzeczeństwo powinno jej przynieść wakacje. Miała nakoniec dosyć tych wszystkich swoich i cudzych niepospolitości, tych oryginalnych określeń, tych trafnych odezwań się, któremi wojowała dotąd na świecie. Czula zresztą, że zapas wyczerpywał się i że w studni już dno widać. Pozostawały jej tylko jeszcze jakieś odczuwania artystyczne, i ten nieznośny «pan Ignas» mógł przecie poprzestać na tem, że od czasu do czasu pokazywała mu to jakąś rozległą łąkę, to kawałek lasu, to skrawek pola z płowem, jakby rozpierzełem w świetle, zbożem, i mówiła: «Ładne! ładne!» To było łatwiejsze! On wprawdzie nie umiał znaleźć dość słów i podziwu, ile głębokiej artystycznej duszy kryje się w takim jednym wyrazie: «ładne» — ale jeśli tak, to czegoż chciał więcej? i dlaczego w rozmowie, w uczuciu, w sposobie kochania, zmuszał ją do jakichś niepotrzebnych wysilen? Jeśli zaś nie zmuszał, jeśli to przychodziło bez jego wiedzy, to tem gorzej dla niego, że, będąc

z natury takim stromym, jeszcze w dodatku o tem nie wiedzial. Niech sobie w takim razie gada ze Stefcią Ratkowską!

Z «Koposiem» natomiast nie potrzeba było żadnych wysileń, to też towarzystwo jego było prawdziwym dla panny Castelli wypoczynkiem. Sam jego widok rozweselał ją, wywoływał uśmiech na jej twarzy i usposabiał do żartów. Taki Połaniecki był wprawdzie raz w życiu zazdrosny o Kopowskiego, ale Zawilowskiemu, jako człowiekowi, który żył daleko wyłącznie życiem umyslowem, a zatem i mierzył wszystko miarą czysto umysłową, ani przez myśl nie przeszło, by dziewczyna, tak «uduchowiona» i tak «mądra», jak Niteczka, mogła choć przez chwilę patrzeć inaczej na Kopowskiego, niż na przedmiot do wesółych żartów, na jakie sobie ustawicznie pozwalała. Czyż sama pani Broniczowa, pomimo całej powierzchowności swego umysłu, nie oburzała się na samo przypuszczenie oddania Niteczki Kopowskiemu? To, co Zawilowski widział między nim a panią Anetą, nie było dla niego żadną nauką, uważał bowiem swoją Niteczkę za przeciwległy biegun Anety. Niteczka przecie wybrała jego, on zaś był znów antytezą Koposia. To jedno usuwało wszelką wątpliwość. Niteczka bawiła się Koposiem, malowała go, prowadziła z nim takie roz-

mowy, że Zawilowski wydziwić się nie mógł, jak przy nich mogła nie usnąć, żartowała z niego, wodziła za nim rozweselonym wzrokiem — ale tylko dlatego, że była jeszcze dzieckiem, które potrzebowało mieć swe chwile zabawy, a nawet i pustoty. Natomiast nikt lepiej od niej nie widział całej jego bezdennej głupoty — i nikt tak często o niej nie mówił. Ileż razy wyśmiewała się z niej przed Zawilowskim!...

Nie wszystkie jednak oczy patrzyły na tę zabawkę jednakowo — a przede wszystkim patrzyła inaczej pani Aneta, która od czasu do czasu mówiła wprost mężowi, że Castelka kokietuje Kopowskiego. «Józiowi» wydawało się również niekiedy, że tak jest, i miał ochotę wyprawić grzecznie Kopusia z Przytułowa, na to jednak pani Aneta nie chciała zezwolić. — «Skoro stara się o Stefcie, to nie mamy prawa zawiązywać tak biednej dziewczynie losu». — Osnowskiemu żal było tej słodkiej Stefcie dla Kopusia, ale, ponieważ rzeczywiście nie miała żadnego majątku, i ponieważ Anetka życzyła sobie, żeby to przyszło do skutku, więc nie śmiał się przeciwzić.

Ale za to nie posiadał się ze zdziwienia i oburzenia na Castelkę: «Mając takiego Ignasia, kokietować takiego durnia — na to trzeba chyba być zupełnie bezduszną lalką». Z początku nie

chciało mu się to w głowie pomieścić. W przypuszczeniu, że jednak Anetka chyba się myślała omylić, począł pilniej przypatrywać się młodej dziewczynie — i ponieważ, poza osobistym swym stosunkiem do żony, nie był wcale człowiekiem głupim, dostrzegł mnóstwo rozmaitych rzeczy, które go, ze względu na przyjaźń, jaką miał dla Zawilowskiego, mocno zaniepokoiły. Nie przypuszczał wprawdzie, by zdarzył się jakikolwiek wypadek, mogący zmienić położenie, ale zadawał sobie pytanie: jaka będzie przyszłość Ignasia z kobietą, tak mało umiejącą go ocenić i tak mało duchowo rozwiniętą, że nie tylko znajdowała upodobanie w towarzystwie takiego bezgłowego piękniśia, ale pozwalała sobie pociągać go i balamucić? «Anetka sądzi wszystkich po sobie, — myślał Osnowski — i rzeczywiście omyliła się, przypisując Castelce jakieś głębsze poczucia: to marynetka, na którą, jeśli nie wpłynęły podobne dusze, jak Anetka i Ignaś, to już jej nic nie rozbudzi». W ten sposób ów nieszczęsny, chory na daltonizm miłości człowiek, odkrywając z jednej strony prawdę, z drugiej popadał w błąd coraz grubszy. Na «Castelkę» za to patrzył z każdym dniem trafniej i nie potrzebował zbytnich wysiłków, by dojść do pewności, że w stosunku tej «idealnej» Niteczki do Kuposia są wprawdzie

żarty, jest dużo przekory, drażnienia się, nawet drwin, ale jest i taka nieprzeparta słabość, i taki pociąg, jaki kobiety z duszami modniarek czują do ładnych i ładnie ubranych chłopców. Fenomenalna głupota Kopowskiego zdawała się jeszcze wzrastać na świeżem powietrzu, ale za to słońce pozłociło jego delikatną cerę, przez co oczy stały się wyrazistsze, zęby bielsze, zarost na twarzy pojaśniał i lśnił się jak jedwab. Rzeczywiście, że blask bił nie tylko od jego młodości i urody, ale od jego bielizny, krawatów, od jego wyszukanych a zarazem prostych kostiumów. Rano, przybrany do lawn-tenisa w angielskie flanele, miał w sobie jakąś świeżość poranku i rozmarzenie snu. Wysmukłe a zarazem wytoczone jego kształty, rysowały się jakby pieścotliwie przez miękkie tkaniny — i gdzież ten kościsty Zawilowski mógł się porównać w oczach tych pań, razem ze swoją zuchwałą wagnerowską szczęką i długimi nogami, z tym «mignonem», przypominającym jednocześnie bogi greckie i żurnale mód, jednocześnie włoskie glip-toteki i tabldoty Biarritz lub Ostendy! Trzeba było być takim cudakiem, jak ta cicha woda, Stefcia Ratkowska, żeby utrzymywać (chyba na złość), że to jest nieznośna lala. Castelka śmiała się wprawdzie, gdy Świrski wyraził się kiedyś, iż Kopowski, zwłaszcza zapytany o coś

znienacka, miewa takie spojrzenia, w których widać szesnaście «quartiers» głupoty po mieczu i po kądzieli. Rzeczywiście, on miewał trochę nieprzytomne spojrzenia i zwykle nie odrazu mógł pojąć, czego od niego chcą. Ale za to taki był wesoly, taki wydawał się łagodny i, mimo niezbyt lotnej myśli, tak dobrze wychowany, a wreszcie taki śliczny i wyświeżony, że wszystko można mu było przebaczyć.

Zawilowski mylił się, sądząc, że tylko pani Broniczowa przepada za rzeczami powierzchownego zbytku, i że jego narzeczona nie wie o tych wszystkich żądaniach, z którymi ciocia występuje. Castelka wiedziała o nich. Straciwszy nadzieję, by «pan Ignasz» mógł kiedykolwiek dorównać Kopowskiemu, chciała, żeby przynajmniej się do niego zbliżył. Do rzeczy powierzchownego zbytku miała wrodzony pociąg — i «ciocia», prosząc Zawilowskiego, by sobie kupił to lub owo, spełniała tylko jej żądania. Dla niej, rzeczywiście, dość było spojrzeć, żeby odróżnić jedwab od fil d'Ecosse, i cała jej dusza instynktownie rwała się do jedwabiu. Kopowski był zaś dla niej tem wśród ludzi, czem jedwab wśród tkanin. Gdyby nie pani Aneta, która powstrzymywała młodego człowieka, i gdyby nie rozmaite górne uczucia, które wmówiła w Castelkę, Castelka byłaby niechybnie za niego wyszła.

Osnowski, nie wiedząc o tem wszystkim, dziwił się nawet, że się tak nie stało, doszedł bowiem w końcu swych spostrzeżeń do wniosku, że i dla Linety, i dla Zawilowskiego, byłoby tak może lepiej.

I któregoś dnia zwierzył się z tych myśli żonie, lecz ona rozgniewała się i odrzekła z wielką żywością:

— Nie stało się, bo się stać nie mogło. Nikt nie jest obowiązany stosować się do Józia pomysłów. Ja pierwsza spostrzegłam, że Castelka kokietuje Kopowskiego. Któż mógł wiedzieć, że to taka natura? Być narzeczoną i już kokietować innych — to przechodzi ludzkie pojęcie. Ale ona to robi przez próżność, na złość Stefci Ratkowskiej, a może dlatego, by wzbudzić zazdrość w Zawilowskim. Kto ją tam wie! Łatwo teraz Józiowi mówić i zwałać całą winę na mnie, że to ja zrobiłam to małżeństwo; niech sobie Józio lepiej przypomni, ile razy sam zachwycał się Castelką, ile razy mówił, że to niezwykła natura i że taka właśnie uszczęśliwiłaby pana Ignasia! Ładnie niezwykła natura!! Teraz kokietuje Kopowskiego, a gdyby była jego narzeczoną, toby kokietowała Zawilowskiego. Jak ktoś jest próżny, to pozostanie zawsze próżny. Józio mówi, że ona byłaby odpowiedniejsza dla Kopowskiego. Trzeba było mieć pierwaj ten ro-

zum, nie dopiero wówczas, gdy ona jest narze-
czoną Zawilowskiego. Ale Józio umyślnie tak
mówi, dlatego tylko, żeby mi pokazać, jakie
glupstwo zrobiłam, pomagając panu Ignasiowi.

I cała sprawa została obrócona w ten spo-
sób, iż Zawilowski i Castelka zeszli na drugi
plan, na pierwszy zaś wystąpiło okrucieństwo
i złośliwość Józia. Ale Osnowski począł się uspra-
wiedliwiać i, rozłożywszy ręce, mówił:

— Anetko! Jak ty możesz nawet przypuścić,
że ja ci chciałem zrobić przykrość? Przecie ja
wiem, jakież ty poczciwe miała chęci; tylko wi-
dzisz, mnie strach bierze o przyszłość Ignasia,
bo go kocham. Chciałbym z duszy serca, żeby
mu Bóg dal taką istotę, jak ty jesteś. Moja pta-
szynko najdroższa, ty wiesz, że jabym wolął
język stracić, niż powiedzieć ci coś przykrego.
Przyszedłem, ot tak, pogadać z tobą i naradzić
się, bo wiem, że w tej kochanej główce zawsze
znajdzie się na wszystko sposób.

To rzekłszy, począł całować jej ręce, a na-
stępnie ramiona i twarz, z ogromną miłością
i coraz większem uniesieniem, lecz ona odwra-
cała głowę, wykręcając się od pocałunków i
mówiąc:

— Ach, jaki Józio spocony!

On zaś rzeczywiście był niemal zawsze spo-
cony, bo po całych dniach grywał w tenisa,

jeździł konno, wiosłował, włóczył się po polach i lasach, byle schudnąć do miary jej wymagań.

— Powiedz tylko, że się nie gniewasz! — rzekł, puszcżając jej rękę i patrząc z tkliwością w oczy.

— No, nie!... Ale jakąż ja mogę dać radę. Oto niech sobie jadą jak najprędzej do tego Scheveningen, a Kopowski niech tu zostanie ze Stefcją.

— Widzisz, że znalazłaś sposób. Niech jadą z początkiem sierpnia. Ale czy ty zauważyłaś, że Stefcja jakoś nie bardzo... jakoś jej Koposio nie przypadł dotąd do serca?

— Stefcja skryta, jak mało kto. Józio nie zna kobiet.

— Pewno masz i w tem słuszność. A nawet widzę, że ona nie lubi Castelki. Może też gniewa się w duszy i na Kopowskiego.

— Albo co? — spytała żywo pani Aneta. — Czy Józio widział coś takiego z jego strony względem Castelki?

— Koposio, jak to Koposio. Śmieje się do niej, bo ma ładne zęby, ale gdybym coś zobaczył, jużby go nie było w Przytułowie. Może też i Castelka kokietuje go dlatego tylko, że taka jej natura... sans le savoir... Już to samo jest złe, ale żeby aż było coś do podpatrywania — tego nie przypuszczam.

— Trzeba jednak wybadać Kopowskiego co do Stefei. Wie Józio co? Oto dziś zaraz pojedę z nim konno ku Leśniczówce i pomówię trochę seryo... Wy sobie jedźcie w inną stronę.

— Dobrze, dziecinko. Patrz, że jednak główka zaczyna radzić!

I zaczął zbierać się do wyjścia, lecz w progu stanął, pomyślał chwilę i rzekł:

— Jakie to jednak dziwne i niepojęte: ten Ignaś, zdaje się, wszystko w lot chwyta — a tymczasem uwielbia tę Castelkę, jak jakie bóstwo, i nie a nie nie widzi.

Po południu zaś, gdy Kopowski z panią Anetą odjeżdżali cienistym gościńcem do leśnego domku, Zawilowski, odprowadzając ją oczyma i patrząc na jej postać, rysującą się na koniu w obcisłej amazonce nakształt wysmukłego dzbanka, myślał:

— Jaka ona jednak zgrabna i ponętna! Jest w tem jakaś ironia życia, że ten poczciwy i serdeczny Osnowski niczego się nie domyśla!

I była rzeczywiście w tem ironia życia — ale nietylko w tem.

LIV.

Od czasu wspólnej wycieczki pani Anety i Kopowskiego do Leśniczówki, coś się zmieniło w towarzyskim nastroju mieszkańców Przytułowa. Zawilowski patrzył wprawdzie po dawnemu w oczy narzeczonej i zachwycał się nią bez miary, natomiast w obejściu się jej z nim i z innymi był jakiś leciuchny odcień złego humoru. Kopowski czuł się jakby skrępowany; na Castelkę spoglądał tylko ukradkiem, zbliżał się do niej skwapliwie, ale tylko w nieobecności pani Anety, a natomiast przysiadł się częściej do panny Ratkowskiej, z którą rozmawiał jakby w roztargnieniu. Pani Aneta była jeszcze rezolutniejsza niż zwykle i ku wielkiemu zadowoleniu «Józia» rozciągnęła teraz tak baczną opiekę nad wszelkimi sprawami w Przytułowie, że dwukrotnie jeszcze brała Kopowskiego na osobną rozmowę. Wzrok Castelki nie gonił za Kopusiem z taką pół wesołą, pół ironiczną swobodą, jak dawniej — natomiast chmurne oczy panny Ratkowskiej zwracały się na Zawilowskiego z pewnym współczuciem, słowem: coś się zmieniło zarówno w spojrzeniach, jak w stosunkach.

Były to jednak zmiany, dostrzegalne chyba dla oka bardzo bystrego i przywykłego patrzeć w tego rodzaju życie, w którym, w braku więk-

szych celów i tegiej codziennej pracy, najmniejsze odcienie uczuć, najbardziej subtelne ruchy myśli, a nawet usposobień, nietylko przybierają pozory doniosłych wypadków, ale częstokroć kryją w sobie rzeczywiste ich zarody. Zewnętrznie, życie to pozostało tem, co było, to jest jakby codziennem świętowaniem, majówką, wiejskim wywczasem, splecionym z miłości, estetycznych wrażeń, mniej więcej subtelnych rozmów i wreszcie zabaw. Ułożenie całego szeregu tych zabaw, tak, aby dzień został zapelniony, było jedynem zadaniem obciążającym umysły, a i to największą jego część brał na siebie, jako gospodarz, pan Osnowski.

Pewnego jednak poranku, jednostajną pogodę tego życia przerwał grom, pod postacią dwóch listów z czarnymi obwódkami pod adresem Osnowskiego i Zawilowskiego. W chwili, gdy je przyniesiono, całe towarzystwo było przy poobiedniej kawie — i oczy pań zwróciły się z ciekawością i niepokojem na czytających, którzy, wydobywszy karty z otwartych kopert, zawolali niemal jednocześnie:

— Pan Zawilowski umarł!

Wiadomość uczyniła wielkie wrażenie. Pani Broniczowa, jako osoba dawnej szkoły, pamiętająca czasy, w których przybycie sztafety na wieś obowiązywało tkliwsze istoty do zemdlenia,

nim nawet pokazało się, co sztafeta przywiozła — wpadła w rodzaj odrętwienia, połączonego z utratą mowy; panna Ratkowska, która czas jakiś spędziła w domu Zawilowskich i miała dla nich wielką przyjaźń, pobladła naprawdę; panna Castelli, chwyciwszy rękę pani Broniczowej, starała się przyprowadzić ją do przytomności, szepcząc półgłosem: «Voyons, chère, tu n'es pas raisonnable!» Pani Aneta zaś, jakby chcąc sprawdzić własnymi oczyma treść zawiadomienia, wyjęła je z rąk męża i poczęła czytać:

«Św. p. Eustachy Zawilowski rozstał się z tym światem w dniu 25 lipca etc. Pograżona w żalu córka zaprasza krewnych i przyjaciół na pogrzeb w kościele parafialnym w Jaśmieniu, w dniu 28 b. m., etc.»

Poczem nastąpiła chwila milczenia, którą przerwał pierwszy Zawilowski:

— Mało go znałem — rzekł — i niegdyś byłem do niego uprzedzony, ale teraz szczerze mi go żal, bom się przekonał, że to był z gruntu zacny człowiek.

— I on cię też szczerze pokochał — odpowiedział Osnowski. — Miałem tego dowody.

Pani Broniczowa, która przez ten czas przyszła do siebie, oświadczyła, iż dowody teraz dopiero mogą pokazać się w całej pełni, i że serce pana Eustachego prawdopodobnie okaże

się jeszcze większe, niż przypuszczają. «Pan Eustachy zawsze bardzo kochał Niteczkę, a taki człowiek nie mógł być zły». Jej, to jest pani Broniczowej, chwilami przypominał Teodora, i dlatego tak się do niego przywiązała. Był wprawdzie czasem o tyle szorstki, o ile Teodor był zawsze łagodny, ale obaj mieli jednaką prawosć duszy, którą Pan Bóg najlepiej potrafi osądzić.

Potem zwróciła się do Niteczki, przypominając jej, że najmniejsze wzruszenie nabawia ją ściskania w dolku, i prosząc, żeby się tym razem starała nie poddać wrodzonej tkliwości. Zawilowski też w poczuciu, że i jego, i Niteczkę, po raz pierwszy dotknął jakiś wspólny smutek, począł całować jej ręce. Nastrój ów przerwał dopiero Kopowski, który rzekł, jakby w zamyśleniu nad znikomością rzeczy ludzkich:

— Ciekawym, co panna Helena zrobi z fajkami po panu Zawilowskim?

Rzeczywiście stary szlachcic miał słynny na całe miasto zbiór fajek i w swoim czasie, przez niechęć do papierosów i cygar, urządzał nawet u siebie zebrania dla miłośników cybucha. Troska Kopowskiego o te fajki nie została jednak zaspokojona, raz dlatego, że Zawilowskiemu przynieśli w tej chwili list od Polanieckiego, zawierający również wiadomość o śmierci sta-

ruszka i wezwanie na pogrzeb, a powtóre z tej przyczyny, że Osnowski począł naradzać się z żoną nad wyjazdem do Jaśmienia.

Stańło na tem, że wszyscy wyruszą zaraz do miasta, gdzie panie zdążą jeszcze pokupować rozmaite żalobne drobiazgi, a nazajutrz, w dzień pogrzebu, będą w Jaśmieniu. Tak się też i stało. Zawilowski, zaraz po przyjeździe, wstąpił do siebie, by odwieźć rzeczy i przygotować na jutro czarne ubranie, a następnie poszedł do Połanieckich, w przypuszczeniu, że może i oni przyjechali od Bigielów. Służący powiedział mu, że wczoraj był tylko pan, ale zaraz odjechał do Jaśmienia, koło którego państwo od dwóch tygodni wynajęli, czy nawet kupili dom.

Usłyszawszy to, wrócił do willi Osnowskich, by wieczór spędzić z narzeczoną. W przedpokojach zdziwiły go dochodzące z głębi domu tony Strausowskiego walca, więc spotkawszy w następnym saloniku pannę Ratkowską, począł ją wypytywać, kto gra.

— Niteczka gra z panem Kopowskim — odrzekła panna Ratkowska.

— To pan Kopowski już tu jest?

— Przyszedł przed kwadransem.

— A państwo Osnowscy?

— Jeszcze nie wrócili z miasta. Anetka robi sprawunki.

Zawiłowski po raz pierwszy w życiu uczuł pewne niezadowolenie z Niteczki. Rozumiał, że stary zmarły szlachcic nie był jej niczem, niemniej jednak chwila do grania walca na cztery ręce z Kopowskim wydała mu się nieodpowiednią. Miał poczucie, że tkwi w tem jakiś brak smaku. I pani Broniczowa, której nie brakło światowej domyślności, odgadła widocznie to wrażenie z jego twarzy.

— Niteczka była ogromnie i wzruszona i zmęczona, — rzekła na wstępie — a jej nic tak nie uspokaja, jak muzyka. Zaniepokoiłam się też bardzo, bo już ją zaczęło ścisnąć w dolku, więc, gdy nadszedł pan Kopowski, sama zaproponowałam, żeby coś zagrali.

Oni jednak przestali grać — i niemiłe wrażenie Zawiłowskiego poczęło się zwolna rozpraszają. W tej willi było dla niego mnóstwo świeżych, drogich wspomnień. O zmroku począł chodzić z Niteczką pod rękę po pokojach i, zatrzymując się w różnych miejscach, co chwila coś sobie przypominał.

— Pamiętasz? — mówił w pracowni: — tu przy malowaniu wzięłaś mnie za skronie, by mi odwrócić głowę, a ja pierwszy raz w życiu pocałowałem cię w rękę. Jakaś powiedziała: «Niech

pan pomówi z ciocią» — straciłem nietylko przytomność, ale oddech... Moja ty wybrana, moja najdroższa...

Ona zaś odpowiedziała:

— A jakiś ty był wtenczas blady!

— Trudno nie być bladym, gdy komuś serce zamiera ze wzruszenia. Przecie ja już cię kochałem bez pamięci.

Panna Castelli podniosła oczy w górę i po chwili rzekła:

— Jakie to wszystko dziwne!

— Co, Niteczko?

— Że to się tak jakoś zaczyna i zaczyna, jak jakieś próbowanie, jak jakaś gra... potem się coraz bardziej w to wchodzi — i nagle: klamka zapada.

Zawilowski począł przyciskać jej ramię do piersi i odrzekł:

— A tak! klamka zapadła! Mam moją jasną dziewczynę i nie puszczę.

Potem, chodząc ciągle pod rękę, przeszli do wielkiego salonu. Zawilowski wskazał oszklone drzwi i rzekł:

— Nasz balkon i nasza akacya.

Mróczyło się coraz bardziej. Przedmioty w pokoju pogrążyły się w cień; gdzieniegdzie tylko na złożonych ramach obrazów polyskiwały światelka, jakby jakieś oczy, podglądające młodą parę.

— Kochasz ty mnie? — spytał nagle Zawilowski.

— Ty wiesz!

— Powiedz: tak!

— Tak.

Wówczas przycisnął jeszcze silniej jej ramię i począł mówić zmienionym przez wzbierające uczucie głosem:

— Ty poprostu nie masz pojęcia, ile w tobie jest szczęścia. Słowo ci daję: nie masz pojęcia! Ty nie wiesz, jak ja cię kocham. Jabym za ciebie życie oddał. Jabym świat oddał za twój jeden włoszek! Tyś mój świat, moje życie, moje wszystko! Jabym bez ciebie teraz umarł.

— Siądźmy — szepnęła panna Castelli. — Takam zmęczona.

I siedli, wsparci o siebie ramionami, ukryci w mroku. Nastąpiła chwila milczenia.

— Co tobie? Ty cały drżysz? — szepnęła panna Lineta.

Lecz i sama, czy to rozkolysana wspomnieniami, czy porwana jego uczuciem, lub bliskością, zaczęła oddychać śpieszniej, i przymknąwszy oczy, pierwsza podsunęła mu usta.

A tymczasem Kopowski nudził się widocznie w przyległym pokoju z panną Ratkowską i panią Broniczową, albowiem w tejże chwili roz-

legły się tony tego walca, którego przedtem grali z Linetą.

Zawiłowskiemu, gdy wrócił do siebie, własne kawalerskie mieszkanie wydało się obrazem pustki i smutku, jakimś bezcelowem koczowiskiem, po którym nie zostaje nawet wspomnienie — i pomyślał, iż ta złota Niteczka już tak obwinęła mu się koło serca, że naprawdę żyćby bez niej nie chciał i nie mógł.

Pogrzeb pana Zawiłowskiego odbył się nazajutrz niezbyt tłumnie. Majątki okoliczne, jako leżące bliżej miasta, należały po większej części do ludzi zamożnych, którzy lato spędzali za granicą, a z tej samej przyczyny niewielu znajomych pana Zawiłowskiego pozostało i w mieście. Nadciągnęły tylko liczne gromady włościan, które, tłocząc się w kościele, spoglądały na trumnę, jakby ze zdziwieniem, że pan tak możny, mający w bród gruntów, pieniędzy i statku, idzie do ziemi, jak pierwszy lepszy chłop, siedzący gdzieś na komornem na wyczółkach. Inni patrzyli z zazdrością na pannę, na którą «tyle dobra» spaść miało. I taka jest natura ludzka, że nie tylko chłopci, ale i ludzie wykwintni, dalsi lub bliżsi znajomi pana Zawiłowskiego, nie mogli nawet w czasie samej ceremonii pogrzebowej powstrzymać się od rozmyślenia, co też panna Helena uczyni z tymi milionami, które jej po-

zostaną do otarcia łez. Byli i tacy, którzy, odgadując w młodym Zawilowskim, jako w ostatnim krewnym tegoż nazwiska, spadkobiercę znacznej części majątku, zadawali sobie po cichu pytanie, czy ten szczęśliwy poeta, a jutro może milioner, nie przestanie wierszy pisywać. I myśleli, jakby z pewnem niewytłómaczonym zadowoleniem, że prawdopodobnie przestanie.

Główną jednak uwagę zwracała panna Helena. Podziwiano powszechnie poddanie się, z jakim zniosła tę stratę, tem boleśniejszą, że po śmierci ojca pozostawała sama jedna na świecie, bez bliższych krewnych, niż młody poeta — i nawet bez przyjaciół, o których przestała się oddawna starać. Szła za trumną z twarzą, po której splywały łzy, ale spokojną, tym zwykłym u niej, trochę martwym i kamiennym spokojem, wróciwszy zaś z pogrzebu, opowiadała o śmierci ojca tak, jakby od niej upłynęło przynajmniej kilka miesięcy. Panie z Przytułowa nie mogły zrozumieć, że mówi przez nią ogromna wiara, i że, na mocy owej wiary, śmierć ta, wobec innej, którą przeżyła i która poszarpała jej duszę, wydała jej się czemś smutnem wprawdzie, ale zarazem błogosławionem, wyciskającym łzy żalu, ale nie rozpaczy. Jakoż stary pan Zawilowski umarł bardzo pobożnie, choć prawie nagle. Od czasu przybycia do Jaśmienia, miał

zwyczaj spowiadać się dwa razy na tydzień, więc nie brakło mu pociechy religijnej. Umarł z różańcem w ręku, na swoim fotelu, zasnawszy poprzednio lekkim snem, bez żadnych cierpień, gdyż codzienne jego dolegliwości opuściły go na kilka dni przedtem, tak, że już począł nabierać nadziei zupełnego wyzdrowienia. Panna Helena, opowiadając o tem swym zaciszonym i monotonnym głosem, zwróciła się wreszcie do Zawilowskiego i rzekła:

— O panu też wspominał bardzo często. Może na godzinę jeszcze przed śmiercią mówił, że jeśli pan przyjedzie do Buczynka do państwa Połanieckich, żeby mu zaraz dać znać, bo się chce koniecznie z panem widzieć. Ojciec bardzo, bardzo pana kochał i cenil.

— Droga pani, — rzekł Zawilowski, podnosząc do ust jej rękę — żałuję go też serdecznie razem z panią.

Było coś szlachetnego i szczerzego zarówno w jego tonie, jak w słowach, więc oczy panny Heleny zaszły łzami, płacz zaś pani Broniczowej rozległ się tak głośno, że, gdyby nie flakonik z solami, podany przez pannę Castelli, byłby prawdopodobnie przeszedł w atak nerwowy.

Lecz panna Zawilowska, jakby nie słysząc tych lkań, poczęła dziękować Połanieckiemu za

pomoc, jakiej od niego doznała, on bowiem zajął się pogrzebem i tymi kłopotami, jakimi śmierć blizkich obarcza, w dodatku do nieszczęścia, tych, którzy blizkich tracą. On zaś wziął to wszystko na siebie i przez uczynność, i dlatego, że obecnie chwycił każdą sposobność, by się czemś zająć, zagłuszyć i wyjść z męczącego kola rozmyślań.

Marynia nie była na pogrzebie, gdyż mąż nie życzył sobie, by się narażala na tłok i zmęczenie, natomiast dotrzymywała pannie Zawilowskiej towarzystwa w domu, niosąc jej pociechę, jaką było można. Obecnie chciała ją zabrać wraz z przytułowskimi paniami do Buczynka, a nawet zatrzymać u siebie kilka dni. Polański popierał jej prośbę, ale panna Helena, mając w domu starą swą nauczycielkę, odmówiła, zapewniając panią Marynię, że w Jaśmieniu nie będzie jej wcale przykro i że, zwłaszcza w pierwszych dniach, nie chciałaby go porzucać.

Za to panie z Przytułowa, które i tak za namową Świrskiego miały zamiar odwiedzić Polańskich, pojechały chętnie wraz ze znajomymi paniami do Buczynka — tem bardziej, że pani Broniczowa czuła ochotę dowiedzieć się od Polańskiego bliższych szczegółów o ostatnich chwilach zmarłego. Pani Marynia, która z wielką

ciekawością przypatrywała się pannie Ratkowskiej, zabrała ją teraz do swego powozu — i stało się to, co się czasem zdarza na świecie: oto obie młode kobiety odrazu poczuły ku sobie nieprzeparty pociąg. W smutnych oczach panny Ratkowskiej, w jej wyrazie, w jej twarzy «zacziszonej», wedle wyrażenia Świrskiego, było coś takiego, że pani Marynia niemal od pierwszego wejrzenia odgadła naturę nieśmiałą, przywykłą do zamykania się w sobie, ale delikatną i tkliwą. Z drugiej strony panna Ratkowska tyle nasłuchiwała się od młodego Zawilowskiego o Maryni (a nasłuchiwała się dlatego, że inne panie w Przytułowie nie rade podawały ucha pochwalom bliźnich), iż widząc w jej oczach zajęcie i sympatyę, do których w swem ubóstwie i samotności nie przywykła, przyłgnęła do niej całym sercem. W ten sposób przyjechały do Buczynka, jako dobre przyjaciółki, i Świrski, który wraz z Polanieckim, Osnowskim i Kopowskim, przybył tuż za nimi, nie potrzebował wielkiej domyślności, by odgadnąć, że sąd Maryni będzie dla panny Stefcy pochlebny.

Chciał jednak go usłyszeć. Marynia poczęła pokazywać gościom swoją nową rezydencję, która miała zostać jej własnością. Polaniecki bowiem już był postanowił kupić Buczynek. Oglądano zwłaszcza ogród, w którym rosły nadzwyczajnie

czaj stare białodrzewy. Świrski, korzystając z tej przechadzki, podał rękę Maryni i w powrotnej drodze do domu, gdy towarzystwo rozproszyło się nieco po wszystkich alejach, spytał z wielkim impetem:

— Cóż pani? jakie pierwsze wrażenie?

— Jak najlepsze. Ach, jakie to musi być dobre i tkliwe dziecko! Niech pan stara się ją poznać.

— Ja? A to na co? Ja się dziś oświadczam. Czy pani myśli, że tego nie zrobię? Pod słowem, że dziś jeszcze — i to w Buczynku. Ja już nie mam czasu na przypatrywania się i namysły. W tych rzeczach musi być trochę hazardu. Dziś się oświadczam, tak, jak tu przed panią stoję.

Pani Polaniecka poczęła się śmiać, sądząc, że żartuje, on zaś odpowiedział:

— Ja się także śmieję, bo w tem niema nic smutnego. Nic nie szkodzi, że to w dzień pogrzebu: nie jestem przesądny. A raczej owszem! jestem — i wierzę, że z pani ręki nie może być źle.

— Ależ to nie z mojej ręki. Ja ją przecie dziś dopiero poznałam.

— Wszystko mi jedno. Całe życie bałam się kobiet, a tej jakoś nie a nie! To poprostu nie może być niewdzięczne serce.

— Nie. I ja myślę, że nie.

— A widzi pani. Na mnie ostatni czas. Przyjmie mnie, to będę ją całe życie, ot, tu nosił — (tu wsunął rękę w zanadrze surduta) — a nie, to...

— To co?

— To się zamknę i będę jaki tydzień od rana do wieczora malował. Mówilem, że pojedę na kaczki — ale nie! To poważniejsza rzecz, niż pani myśli. Sądzę jednak, że powinna mnie przyjąć. Wiem, że ona tego damskiego papilota, tego Koposia, nie kocha; jest na świecie sama i sierota, a mnie zrobi dobrodziejstwo, za które potrafię być jej wdzięczny przez całe życie, bo ze mnie w gruncie rzeczy dobry człowiek — a boję się, żebym nie zgorzkniał.

Marynia teraz dopiero spostrzegła się, że Świrski może mówić poważnie — i odrzekła:

— Pan naprawdę dobry człowiek, więc pan nigdy nie zgorzknieje.

On zaś odrzekł z wielkiem ożywieniem:

— Owszem. Mogłoby się na tem skończyć. Z panią będę szczerzy. Czy pani myśli, że ja jestem tak szczęśliwy, jak się wydaje. Dalibóg, że nie! Zdobyłem trochę pieniędzy i sławy — prawda. Ale może nie było pomiędzy mężczyznami drugiego, któryby tak wyciągał ręce do jakiegoś kobiecego ideału, jak ja. I co? Spotkałem panią, spotkałem panią Bigielową, może

jeszcze dwie, trzy — zacne, prawe, rozumne, czyste jak lzy... Niech pani pozwoli! Ja nie chcę mówić pani grzecznostek, a w tem, co powiem następnie, nie chcę wygłaszać krytyki, tylko odkrywam mój ból: widziałem między naszymi kobietami tyle szychu, tyle płaskich i płytkich natur, taki egoizm, tyle mielizn, tyle niewdzięcznych serc, tyle lalek z kartonu, tyle nieszczerych aspiracyi, że od tego widoku mogło zgorzknieć dziesięciu takich, jak ja.

Po chwili zaś dodał:

— To dziecko wydaje się inne: ciche, słodkie i bardzo uczciwe. Dajże Boże, żeby taka była — i żeby mnie chciała.

Tymczasem pani Broniczowa, wzięwszy otwarcie Polanieckiego na bok, mówiła ze wzniesionemi oczyma:

— O tak! on mi przypominał moje młode lata — i jak pan widzi, pomimo tego, że przez dłuższy czas stosunki między nami były zerwane, dochowałam mu do końca życia przyjaźni. Pan musiał słyszeć... Ale nie! nie mógł pan słyszeć, bom nigdy nikomu o tem nie wspominała, że ode mnie tylko zależało zostać... matką Helenki. Teraz już niema potrzeby tajemnicy. Dwukrotnie oświadczał się o moją rękę i dwukrotnie mu odmówiłam. Szanowałam i lubiłam go zawsze, ale pan zrozumie, że gdy się jest

młodym, szuka się czego innego, szuka się tego, co znalazłam w moim Teodorze... O tak! Raz było to w Ischii, a drugi raz w Warszawie. Cierpiał bardzo — ale cóż ja mogłam poradzić? Czy pan w mojem położeniu postąpiłby inaczej? Niech pan szczerze powie?

Połaniecki, nie mając najmniejszej chęci odpowiadać ani szczerze, ani nieszczerze, jakby postąpił w położeniu pani Broniczowej, rzekł:

— Pani życzyła sobie o coś mnie zapytać?

— Tak! o tak! Chciałam pana zapytać o jego ostatnie chwile. Helenka mówiła, że on umarł nagle, ale pan, mieszkając tak blisko, musiał go odwiedzać, więc może pan pamięta, co on mówił, może wie, jakie były jego ostatnie zamiary i myśli? Osobiście nie mam w tem przecie najmniejszego interesu. Mój Boże! chyba trudno było postępować bezinteresowniej. Pan Niteczki nie zna! Ale pan Zawilowski dał mi słowo, że zapisze panu Ignasiowi swoje poznańskie majątki. Jeśli słowa nie dotrzymał, lub nie zdążył dotrzymać, niech mu to Pan Bóg przebaczy, tak jak ja przebaczam. Majątek! — zapewne! to nic nie stanowi! Któż dał lepszy od Niteczki przykład nieoglądania się na majątek? Gdyby było przeciwnie, nie byłaby odrzuciła takich partyi, jak markiz Jao Colimação, lub pan Kanafaropulos. Pan musiał słyszeć także

o panu Ufińskim? (To ten, co za swoje sławne sylwetki kupił już sobie pałac w Wenecyi. Ostatnim razem wycinał księcia Walii). Jeszcze tego roku oświadczał mi się o Niteczkę. Och tak, drogi panie! jeśli kto szukał majątku — to chyba nie my. Ale nie chciałabym, żeby Niteczka kiedykolwiek mogła pomyśleć, że zrobiła ofiarę — bo jednak... między nami, ona robi ofarę, a biorąc po światowemu — wielką ofiarę!

Na to Polaniecki, który był człowiek żywy, i którego rozgniewały ostatnie słowa pani Broniczowej, odrzekł:

— Nie znalazem ani markiza Jao Colimaçao, ani pana Kanafaropulosa, ale na tutejszym gruncie to są nazwiska trochę... dziwne. Przypuszczam też, że panna Castelli wychodzi za Zawilowskiego z miłości, a w takim razie wszelka ofiara jest wyłączoną. Ja, pani, jestem człowiek otwarty i mówię to, co myślę. Czy Zawilowski jest praktycznym, to inna rzecz, ale Zawilowski nie wie i nie chce pytać, co przynosi mu panna Castelli; panie zaś doskonale wiedzą, co przynosi, nawet pod względem światowym.

— Ach, to pan, widzę, nie słyszał, że Castellowie pochodzą od Marino Falieri..

— Właśnie pani, żem nie słyszał, ani ja,

ani nikt inny. Przypuśćmy, że dla mnie i dla pani takie względy nie mają znaczenia, skoro jednak pani pierwsza wspomniała, że, biorąc po światowemu, panna Lineta robi wielką ofiarę — ośmielę się temu zaprzeczyć i powiedzieć, że, nie mówiąc już o talencie Zawilowskiego i jego stanowisku — partye są równe.

Z jego tonu i twarzy widać było, że jeśli pani Broniczowa nie poprzestanie na tem, co powiedział, to gotów mówić jeszcze otwarciej; ale pani Broniczowa, mając widocznie niejedną strzałę w swoim kolezanie, chwyciła rękę Polanieckiego i, wstrząsając nią silnie, zawołała:

— Ach, jaki pan poczciwy, że pan tak goręco ujmuje się za Ignasiem, i jak ja pana za to Kocham! Ale przeciw mnie nie trzeba go bronić, bo i ja jego pokochałam, jak własnego syna. Kogóż ja mam na świecie, jeśli nie tych dwoje, i jeśli wypytuję, czy pan czego nie wie o jakim rozporządzeniu pana Zawilowskiego, to jedynie przez miłość dla Ignasia. Wiem, że starzy ludzie lubią odkładać i odkładać, tak jakby przez to i śmierć dała się odłożyć. Ach, panie, śmierć nie da się odłożyć!... nie! nie! Ale Helence nie po tych wszystkich milionach, a Ignaś... mógłby dopiero prawdziwie rozwinać skrzydła... Mnie i Niteczce chodzi przedewszyst-

kiem o jego talent. Ale gdyby przyszło co do czego...

— Cóż ja pani mogę powiedzieć? — odrzekł Połaniecki. — Że pan Zawilowski myślał o Ignasiu, to dla mnie rzecz niewątpliwa, i powiem pani dlaczego. Z jakie dziesięć dni temu kazał przynieść jakieś stare bronie, żeby mi je pokazać, przyczem zwrócił się do córki, i słyszałem, jak do niej mówił tak: «Tego nie warto w testamencie wyliczać, ale po mojej śmierci oddaj to Ignasiowi, bo tobie nie po tem». Z tego wnoszę, że albo już był zrobił jakiś zapis dla Ignasia, albo o nim myślał. Więcej nic nie wiem — bom go o nic nie pytał. Jeśli jakiś nowy testament jest, to za parę dni będzie wiadomo, a panna Helena z pewnością go nie ukryje...

— Czy pan zna dobrze tę poczciwą Helenkę? Ale tak! tak! Pan jej nie zna tak, jak ja — a ja za nią mogę ręczyć. Niech pan jej nigdy przy mnie nie podejrzewa! Helenka miałaby ukrywać testament? — Nigdy, mój panie!

— Zechciej pani łaskawie nie przypisywać mi myśli, których nie miałem i przed którymi się zastrzegam. Testamentu w żadnym razie nie można ukryć, bo się go robi przy świadkach.

— A widać pan, że tego nawet nie można ukryć, bo się to robi przy świadkach. Byłam pewna, że tego nie można ukryć. Zresztą pan

Zawilowski tak kochał Niteczkę, że choćby przez wzgląd na nią, nie mógł zapomnieć o Ignasiu. On ją na rękę nosił, jeszcze jak była taka, ot...

Tu pani Broniczowa umieściła jedną dłoń powyżej drugiej, by w ten sposób dać Polanieckiemu pojęcie, jaką mogła być wówczas Niteczka, po chwili jednak rzekła:

— A może nawet i nie była taka!

Poczem wrócili do reszty towarzystwa, które, skończywszy oglądać ogród, zabierało się do śniadania. Polaniecki, patrząc na wdzięczną twarz panny Castelli, pomyślał, że wówczas, gdy stary pan Zawilowski nosił ją na rękę, mogła być istotnie ślicznem i milem dzieckiem. Nagle przypomniała mu się Litka, którą on także na rękę nosił, i zapytał:

— Więc to pani tak dawna znajoma nieboszczyka?

— O tak! — odpowiedziała panna Niteczka. — Będzie temu ze cztery... lata... Ciociu, jak to dawno poznałyśmy pana Zawilowskiego?

— O czem ta zakochana główka myśli! — zawołała pani Broniczowa. — Ach, mój dobry panie! Co to za szczęśliwy wiek i co za szczęśliwa epoka!

Tymczasem Świrski, siedząc przy pannie Ratkowskiej, czuł, że nie tak łatwo będzie mu wywiązać się z obietnicy danej Maryni, jak się

zdawało. Przeszkadzali mu świadkowie, a jeszcze bardziej jakaś niespokojność koło serca, w połączeniu z utratą zwykłej przytomności i swobody. «Pomyśleć, — mówił sobie — że ja jestem większy tchórz, niż przypuszczałem!» I nie szło mu. Chciał przynajmniej przygotować grunt, a mówił o czem innym, niż sobie życzył. Zauważył teraz, że panna Ratkowska ma ładną szyję, z perłowymi tonami koło uszu, i bardzo ładny dźwięk głosu — lecz zauważył z pewnem zdziwieniem, że to onieśmiela go jeszcze bardziej. Po śniadaniu, całe towarzystwo trzymało się, jakby naprzekór, razem. Panie były pomęczone pogrzebem, a gdy w godzinę później pani Aneta oświadczyła, że trzeba wracać, doznał razem uczucia przykrości i ulgi. «Nie moja wina — pomyślał: — ja miałem stanowczy zamiar».

Lecz gdy panie były już na wsiadanem, uczucie ulgi zmieniło się w nim w żal nad samym sobą. Pomyślał o swej samotności, o tem, że nie ma komu oddać ani sławy, ani dostatku; pomyślał o swoim współczuciu dla panny Ratkowskiej, o ufności, jaką w nim budziła, o szczerzej sympatyj, którą od pierwszego wejrzenia dla niej powziął — i w ostatniej chwili zdobył się na odwagę.

Podawszy więc panience ramię do powozu, rzekł:

— Prosił mnie pan Józef, żebym znów wpadł kiedy do Przytułowa — i dobrze! Wpadnę, ale z paletą i pendzlami. Ja tak chciałbym mieć pani głowę!...

I uciał, szukając w jaki sposób przejść od tego, co powiedział, do tego, o co mu chodziło, a zarazem czując, że trzeba się ogromnie śpieszyć, bo niema czasu. Lecz panna Ratkowska, widocznie nieprzyzwyczajona, by ktoś się nią zajmował, spytała z nieudanem zdziwieniem:

— Moją?

Na to Świrski rzekł prędko, nieco przyciszonym głosem:

— Niech mi pani pozwoli być echem i powtórzyć ten wyraz.

Panna Ratkowska spojrziała na niego, jakby nie rozumiejąc o co chodzi, ale w tej chwili pani Aneta zawołała ją do powozu, tak, że Świrski miał zaledwie czas ścisnąć jej rękę i rzec:

— Do widzenia.

Powóz ruszył. Rozpięte parasolki wnet przysłoniły twarz panny Ratkowskiej, malarz powiódł wzrokiem za odjeżdżającymi i wreszcie zadał sobie samemu pytanie:

— Czym ja się oświadczył, czy nie?

Był jednak pewny, że panna Ratkowska będzie teraz myślała przez całą drogę o tem, co jej powiedział. Mówił sobie również, że znalazł się zrzęcznie, i że dobrze skorzystał z jej pytania; pod tym względem był z siebie zadowolony, ale jednocześnie dziwił się, że nie doznaje ani wielkiej radości, ani niepokoju, i że ma jakieś głuche poczucie, jakby w tem wszystkim czegoś brakło.

Zdawało mu się, że, jak na chwilę tak doniosłą, jest za mało wzruszony. I w zamyśleniu zawrócił od bramy ku domowi. Pani Połanieckiej, która widziała z daleka pożegnanie, uszki czerwienily się z ciekawości, pomimo jednak, że męża nie było w tej chwili w pokoju, nie śmiała pierwsza pytać, lecz za to Świrski w oczach jej wyczytał tak wyraźnie pytanie: «czy się pan oświadczył?» — że uśmiechnął się i odrzekł tak, jakby je zadała:

— Tak pani!... prawie. Niezupełnie... Nie było sposobności do obszerniejszej rozmowy, więc nie mogłem mieć odpowiedzi; nie wiem nawet, czy byłem zrozumiany.

Marynia, nie widząc w nim tego ożywienia, z jakim mówił z nią przedtem, i przypisując to niepokoju, chciała mu dodać otuchy, lecz przeszkodziło jej wejście Połanieckiego. Świrski też począł się zaraz żegnać, ale, pragnąc wi-

docznie zaspokoić dokładniej przed wyjazdem jej ciekawość, rzekł, nie zważając na obecność Polanieckiego:

— W każdym razie jutro będę w Przytulowie, albo napiszę list; mam nadzieję, że odpowiedź będzie pomyślna.

Poczem ucałował z wielką przyjaźnią jej rękę i po chwili znalazł się sam w swojej dorożce, pogrążony w klębach płowej kurzawy i we własnych myślach.

Jako malarz, tak był przyzwyczajony do chwytania po malarsku rozmaitych nasuwających się oczom szczegółów, że czynił to nawet i teraz, ale mimowoli, bez należytego uświadamiania, jakby tylko powierzchnią mózgu. W głębi zaś zastanawiał się nad wszystkim, co zaszło.

— Co u diabła, Świrsiu! — mówił sobie. — Co się z tobą dzieje? Czyś się nie rozpędzał dwadzieścia pięć lat, żeby przeskoczyć ten rów? Czy nie stało się to, do czego piałeś jeszcze dziś rano? Gdzie twój impet? Gdzie twoja radość? Czemu nie krzyczysz: «Nareszcie! Żenisz się — rozumiesz, stary dziku? Nareszcie! nareszcie!»

Ale było to próżne podniecanie się. Człowiek wewnętrzny pozostał chłodny: rozumiał, że to, co go spotkało, powinno być szczęściem, ale tego nie odczuwał.

Poczęło go ogarniać coraz większe zdziwienie. Postąpił, zdaje się, ze wszelką świadomością i wolą. Nie był dzieckiem, ani lekkoduchem, ani histerykiem, który sam nie wie, czego chce. Wyrozumowawszy raz, że tak będzie dobrze — nie zmienił zdania. Panna Ratkowska była przecie zawsze tą samą słodką, «zaciszoną», bardzo pewną istotą — czemuż myśl, że ona zostanie tem jego upragnionem oddawna «kobieciątkiem», nie rozgrzewała go silniej? Dlaczego nadzieja, zmieniona już niemal w pewność, nie zmieniała się zarazem w radość, a na dnie duszy zostało mu poczucie jakby jakiegoś zawodu?

— To, co jej powiedziałem, — pomyślał — mogło być zręczne, ale było suche. Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli to nie było suche, a przytem i niezupełne. Po prostu nie mam jeszcze pewności i nie odczuwam rzeczy, jakby już spełnionej.

Tu wrażenia malarskie przerwały mu wątek myśli. Owce, rozproszone na przyległej pochyłej łące, przesłonięte oddaleniem i zarazem skąpane w słońcu, wydawały się na zielonem tle jak jasne plamy, z odcieniem mocno błękitnym, obramowane złotem.

— Te owce są niebieskie; impresyoniści mają trochę racyi, — mruknął Świrski — ale niech ich dyabli porwą! Ja żenię się!

I wrócił do swoich rozmyślań. Tak!... Skutek nie odpowiedział nadziei i oczekiwaniom. Bywają różne myśli, których człowiek nie chce sobie wypowiedzieć, ale bywają i poczucia, których nie chce zmienić w wyraźne myśli. Tak było ze Świrskim. Nie kochał panny Ratkowskiej — i oto była gotowa, prosta odpowiedź na wszystkie pytania, które sobie zadawał. Ale on ją omijał, póki mógł. Nie chciał przyznać, że bierze tę dziewczynę tylko dlatego, że ma ogromną ochotę się żenić. Pragnął wytłómaczyć sobie, że nie odczuwa rzeczy, jako już spełnionej, co było wykrętem. Nie kochał! Inni przez kobietę dochodzili do miłości, on zaś do swojej ogólnej, wewnętrznej potrzeby kochania chciał dostosować kobietę, to jest, poszedł drogą wprost od zwykłej odmienną. Inni, mając bóstwo, budowali dla niego kościół, on, mając gotowy kościół, wprowadzał sobie do niego bóstwo, nie dlatego, że je poprzednio z całej mocy uwielbił, ale że mu się wydało niezłe do architektury świątyni dopasowaniem. I teraz zrozumiał, czemu jeszcze dziś rano okazywał tyle zapału i stanowczości, a teraz pozostał taki chłodny. Tem tłómaczył się i ów ogromny impet w przeprowadzeniu zamiaru, i ów brak duchowego «alleluja!» po jego przeprowadzeniu.

Zdziwienie Świrskiego poczęło przechodzić

w smutek. Pomyślał, że byłby może lepiej zrobił, gdyby, zamiast tyle rozmyślać o kobiecie, zamiast tworzyć teorye, jaką kobieta być winna, złapał za pierwszą lepszą dziewczynę, któraby mu przypadła do serca i zmysłów. Teraz pojął, że kocha się tę kobietę, którą się kocha i nie dopasowywa się do niej żadnych z góry powziętych pojęć o miłości, bo te pojęcia — jak dzieci — dopiero z kobiety mogą się rodzić. Wszystko to było mu tem dotkliwsze, że jednak czuł, iż mógłby ogromnie kochać i uświadamiał coraz dokładniej, że nie kocha, jakby mógł. Przypomnił sobie, co mu w swoim czasie opowiadał jeszcze w Rzymie Polaniecki o jakimś młodym lekarzu, który podeptany przez jakąś bezmyślną lalkę, mówił: «Ja wiem, jaka ona jest, ale nie mogę duszy od niej odedrzeć». Oto była miłość mocna jak śmierć — oto ten kochał!... Nie wiadomo, dlaczego naraz przyszła Świrskiemu na myśl panna Castelli i Zawilowski? Przypomnił sobie również jego zapatrzoną i jakby wniebowziętą twarz, którą widywał w Przytulowie.

I znów zbudził się w nim artysta, który wskutek całych lat nawyknienia, podstawił się w człowieka nawet wówczas, gdy człowiek myślał o rzeczach najbardziej osobistych. Na chwilę zapomniał o sobie, o pannie Ratkowskiej,

a począł myśleć o twarzy Zawilowskiego i o tem, co właściwie stanowiło najistotniejszy jej wyraz? Jakaś skupiona egzaltacya? — tak! — ale było i coś innego — coś jeszcze istotniejszego.

I nagle drgnął:

— Dziwna rzecz — pomyślał: — to jest gło-
wa tragiczna!

LV.

W kilka dni później, Zawilowski wezwany przez Polanieckiego, pojechał do miasta. Młode-
mu człowiekowi bardzo nie chciało się opusz-
czać Przytułowa, ale panna Helena życzyła
sobie, by koniecznie był obecny przy otwarciu
testamentu ojca. Obaj z Polanieckim i z praw-
nikiem starego pana Zawilowskiego, adwokatem
Kononowiczem, udali się w tym celu do Jaśmie-
nia. Gdy jednak przez dwa następne dni, w lis-
tach do «Niteczki», Zawilowski wylewał tylko
swoje uczucia na papier, nie czynił zaś naj-
mniejszej wzmianki o testamencie, pani Broni-
czowa, którą przedtem wprowadzały w zachwy-
t ta wylewy, wyznała teraz pod sekretem pani
Anecie, że po pierwsze: jest to głupi sposób pi-
sywania do narzeczonej, a powtóre, że jest

«quelque chose de louche» w takim, jakby umyślnem, milczeniu. Wprawdzie, pierwszy z tych listów pisany był z miasta, drugi natchmiast po przyjeździe do Jaśmienia; stara dama twierdziła jednak, że w każdym razie Zawilowski powinien był w nich wspomnieć przynajmniej o swoich nadziejach, milcząc bowiem, okazywał «Niteczce» brak zaufania i po prostu ją obrażał.

Osnowski twierdził przeciwnie, że Zawilowski zamilczał o swych nadziejach przez delikatność względem panny Linety, i z tego powodu przyszło do malej sprzeczki między nim a panią Broniczową, która przy tej sposobności wygłosiła pewnik psychologiczny, że mężczyźni wogóle mają nader słabe pojęcie o dwóch rzeczach, mianowicie: o logice i delikatności. «Och, tak! — i o logice! może nie wasza wina, że tacy jesteście, ale tacy jesteście, mój Józiu, wszyscy!» Nie mogąc jednak usiedzieć na miejscu, po dwóch dniach, pod pierwszym lepszym pozorem, wyjechała do miasta, aby zasięgnąć w sprawie testamentu języka.

Wróciwszy nazajutrz, przywiozła z sobą naprzód panią Maszkową, z którą spotkała się na przytułowskiej stacyi, a która chciała już oddawna «tę kochaną Anetkę» odwiedzić, a potwóre, wiadomość, że nie znaleziono żadnego

nowego testamentu pana Zawilowskiego, i że jedyną i wyłączną spadkobierczynią ogromnego majątku została panna Helena Zawilowska. Wiadomość znaną już była w Przytułowie z trzeciego listu pana Ignasia, który przez ten czas odebrała panna Lineta, niemniej jednak potwierdzenie jej przez panią Broniczową sprawiło nadzwyczajne wrażenie, tak, iż przyjazd pani Maszkowej przeszedł, jak niepostrzeżony. Było to wszystko ogromnie dziwne. Zawilowskiego poznały te panie, jako człowieka bez majątku. Panna Lineta została jego narzeczoną wówczas, gdy nie było jeszcze żadnych widoków na testament. Stało się to naprzód pod wpływem pani Anety, która «palila pod kotłami tak, iż trzeba było jechać i jechać prędko»; stało się tak pod wpływem ogólnego zapału, jaki wzbudziły poezye Zawilowskiego, pod wpływem jego sławy; przez miłość własną panny Linety i pani Broniczowej, która to miłość własna czuła się nietylko zadowoloną, ale porwaną tem, że ów sławny i rozgłośny Zawilowski, zwracający na siebie wszystkie oczy, klęknął u nóg nie żadnej innej — tylko «Niteczki». Stało się wreszcie dla opinii ludzkiej, która mogła tylko wysławić pannę, szukającą nie majątku, ale takich bogactw, jakie posiadał Zawilowski. Prawda, że rozpoczynawszy się w ten sposób, wszystko poszło

dalej także i siłą tego życiowego pędu, który, raz porwawszy ludzi, niesie ich tak, jak fale rzek niosą porwane przez się przedmioty — mimo ich woli. Bądź co bądź, jednak panna Castelli została narzeczoną człowieka bez majątku — i gdyby nie owe nadzieje, które otwoczyły się później, ani ona sama, ani pani Broniczowa, ani nikt inny nie mógłby brać i nie brałby Zawilowskiemu za złe braku dziedzicznej fortuny. Ale taka jest natura ludzka, iż właśnie dlatego, że te nadzieje powstały i, powstawszy, uczyniły z Zawilowskiego nadomiar wszystkiego znakomitą partyę — teraz, gdy rozwiał je wiatr rzeczywistości, nikt nie mógł oprzeć się poczuciu pewnego zawodu. Jedni martwili się tem szczerze, drudzy, jak Kopowski i pani Maszkowa, (która sama nie wiedziała dlaczego), czuli pewne zadowolenie z takiego obrotu rzeczy, ale poczuciu pewnego zawodu nie mógł się oprzeć nawet tak serdeczny przyjaciel Zawilowskiego, jak Osnowski.

Zawilowski, w ostatnim liście do panny Linety, pisał między innemi: «Chciałbym być jak najbogatszy — dla ciebie, ale co mi tam to wszystko znaczy wobec ciebie! Szczerze ci mówię, żem przestał o tem myśleć, a wiem, że ty, która nie chodzisz po ziemi, mogłabyś się zmartwić tem tylko o tyle, o ile ja bym się zmartwił.

A ja nie! jak ciebie kocham! To wielkie zaklęcie, ogromnie dla mnie święte, więc powinnaś mi wierzyć. Ludziom grożą w życiu rozmaite braki i niedostatki, ale ja ci poprostu mówię, że cię nie dam żadnemu. Moja ty złota! moja jedyna dziecino i pani» — i t. d. Panna «Niteczka» pokazała ten list pani Anecie, pannie Ratkowskiej, a po przyjeździe cioci — oczywiście i cioci. Jakoż Zawilowski nie mylił się co do niej, przynajmniej pod tym względem, że gdy w całym Przytulowie nie było mowy o czem innym, tylko o testamencie starego pana Zawilowskiego, panna Lineta wśród tych rozmów milczała. Może tylko oczy jej przybrały do pewnego stopnia dawniejszy senny wyraz, może przy samych kącikach jej ust, gdy mówiono o Zawilowskim, zbierało się coś naksztalt malej pogardliwej faldki, może wreszcie rozmawiała wieczorami bardzo obszernie z «ciocią», gdy po ogólnem dobranoc odchodziły do siebie; nigdy jednak, prawdziwie jak istota, która «nie chodzi po ziemi», nie zabrała głosu w tej sprawie przy ludziach.

«Koposio» raz w chwili, gdy na minutę zostawiono ich sam na sam, począł z nią o tem mówić, ale ona naprzód położyła paluszek na własnych ustach, a potem odwróciła go z daleka ku jego ustom, na znak, że sobie tego nie

życzy. Co więcej, nawet pani Broniczowa odzywała się przy niej o swoich zawodach mało i ostrożnie. Natomiast, gdy jej nie było w pokoju, nie mogła zatamować przyływu do ust nagromadzonej w sercu goryczy, który to przyływ uniósł ją kilkakrotnie tak dalece, że o mało nie pokłócili się z Osnowskim.

Osnowski bowiem, wyrzucając sobie w duchu owo poczucie zawodu, od którego i on nie mógł się obronić, starał się teraz wszelkimi silami zmniejszyć znaczenie katastrofy i dowieść, że Ignas jest wogóle wyjątkową partya, a nawet i pod względem finansowym wcale niezłą.

— Nie myślę, — mówił — że byłby przestał pisać, odziedziczywszy po starym panu Zawilowskim, ale sama administracya tak ogromnego majątku byłaby mu zajęła tyle czasu, że jego talent mógłby na tem ucierpieć. Jak chodzi o Ignasia, to widzi ciocia, mimowoli przypomina się, co Henryk VIII powiedział, gdy któryś z książąt zagroził Holbeinowi: «Z dziesięciu chłopów zrobię, gdy mi przyjdzie fantazya, dziesięciu lordów, ale z dziesięciu lordów nie zrobię jednego Holbeina». Ignas jest wyjątkowy człowiek. Niech mi ciocia wierzy, żem zawsze uważał Niteczkę za urocze i poczciwe dziecko i zawszem ją lubił, ale prawdziwie dopiero urosła

w moich oczach od czasu, jak potrafiła się poznać na Ignasiu... Być czemś w życiu takiego człowieka, to przecie jest zadanie, którego każda kobieta mogłaby jej pozazdrościć. Prawda, Anetko?

— Naturalnie, — odrzekła pani Osnowska — że kobiecie jest przyjemniej, gdy należy do człowieka, który jest czemś.

Osnowski zaś odrzekł, wpół śmiejąc się, wpół poważnie:

— A myślisz, że mnie to nieraz nie trapi, że taka istota, jak ty, należy do takiego zera, jak pan Józef Osnowski? Ale trudna rada! stało się! A przytem to zero bardzo kocha...

Poczem zwrócił się do pani Broniczowej:

— Niech też ciocia pomyśli, — rzekł — że Ignas ma kilkanaście tysięcy rubli swoich, a przytem po śmierci ojca weźmie to, co mu stary pan Zawilowski zapewnił. Biedny on nie będzie...

Pani Broniczowa ruszyła pogardliwie głową:

— Ach, naturalnie — odrzekła. — Niteczka, zgodziwszy się na pana Zawilowskiego, nie szukała przecie pieniędzy, bo, gdyby była szukała pieniędzy, dość nam było ręką kiwnąć na pana Kanafaropulosa...

— Ciociu! litości! — zawołała, śmiejąc się, pani Aneta.

— A więc nie się nie stało — rzekł Osnowski. — Panna Helena z pewnością za męża nie pójdzie, więc i tak majątek kiedyś przejdzie, jeśli nie na Ignasia, to na jego dzieci — ot i cała rzecz!

Widząc jednak pogiębioną ciągle twarz pani Broniczowej, po chwili dodał:

— No, ciociu! więcej zgody na wolę Boską! więcej pogody! Ignas ani na cal nie mniejszy!...

— Ach, naturalnie — odrzekła z odcieniem złego humoru. — Naturalnie, że to wszystko nie nie zmieni. Zawilowski swoją drogą ma talent, a swoją drogą, każdy musi przyznać, że robi partyę nad swoje spodziewanie. O tak! o tem nie może być dwóch zdań. Naturalnie, że mniejsza o ten majątek, tem bardziej, że ludzie różnie mówią o sposobach, jakimi go pan Zawilowski tak bardzo powiększył. Niech mu tam Bóg będzie łaskaw i niech mu przebaczy, że mnie zwiódł, nie wiadomo dlaczego... Jeszcze dziś modliliśmy się z Niteczką za niego... Trudna rada!... Naturalnie wolalabym, żeby nie miał tej skłonności do mówienia nieprawdy, bo to może być familijne; wołałybyśmy także obie z Niteczką, żeby pan Ignacy mniej był dawał do zrozumienia, że zostanie spadkobiercą pana Zawilowskiego...

— Przepraszam najmocniej! — przerwał ży-

wo Osnowski — nigdy nie dawał!... Pozwoli ciocia! to już nadto! Nie chciał tam iść, ciocia go sama przy mnie wyprawiała.

Lecz pani Broniczowa była już w biegu, i nie jej nie mogło zatrzymać, więc odrzekła ze wzrastającym rozdrażnieniem:

— To Józiowi nie dawał, a mnie dawał. Niteczka może zaświadczyć. Powiedziałam zresztą Józiowi, że mniejsza z tem. Naturalnie, że nie się nie zmieni, i jeżeli mam trochę zmartwienia, to bynajmniej nie z tego powodu. Józio nie był nigdy matką i, jako mężczyzna, nie potrafi zrozumieć, ilu my, matki, doznajemy obaw w ostatnich chwilach przed oddaniem dziecka w obce ręce. Dowiedziałam się dopiero teraz oto, że Zawilowski, przy wszystkich swych przymiotach, ma gwałtowny charakter... I ma! Ja go zawsze o coś podobnego podejrzewałam... A jeśli tak jest, to byłaby to wprost śmierć dla Niteczki... Sam pan Polaniecki nie zaprzeczył, że on ma gwałtowny charakter... Sam Polaniecki, niby jego przyjaciel, (o ile mężczyźni zdolni są do przyjaźni), dał do zrozumienia, że ojciec jego miał także gwałtowny charakter i że wskutek tego dostał pomieszania zmysłów, które może być dziedziczne. Wiem, że pan Ignacy niby Niteczkę kocha, (o ile mężczyźni zdolni są naprawdę kogoś kochać), ale czy to na długo bę-

dzie tej miłości? Że on jest trochę egoista — temu sam Józio nie zaprzeczy (zresztą, wy wszyscy jesteście egoiści); więc niechże Józio nie dziwi się, że mnie w ostatnich chwilach strach bierze, gdy pomyślę, że moja dziecinka może się dostać w ręce okrutnika, waryata i egoisty...

— Nie! — zawołał Osnowski, zwracając się do żony — jak ciebie kocham, tak poprostu uszy wiedną! Poprostu można głowę stracić!

Lecz pani Aneta zdawała się bawić tą rozmową, jak w teatrze. Sprzeczki pani Broniczowej z mężem bawiły ją zawsze, teraz zaś zanosiło się na większą, niż zwykle, albowiem pani Broniczowa, spojrzawszy na Osnowskiego, jakby z politowaniem, mówiła dalej:

— Przytem ta sfera!... Ci wszyscy Swirscy, Połanieccy, Bigiele! Wszyscyśmy byli i jesteśmy zaślepieni w Zawilowskim, ale prawdę mówiąc, czy to sfera odpowiednia dla Niteczki?... To trudno! różnice między ludźmi sam Pan Bóg postanowił, i stąd płyną różnice w wychowaniu. Józio może nie zdaje sobie dokładnie z tego sprawy, (bo wogóle mężczyźni z takich rzeczy nie umieją sobie zdać sprawy), ale ja Józiovi powiem, że są odcienie i odcienie, które w życiu mogą ogromnie dużo stanowić. Józio chyba zapomniał, kto jest Niteczka, i że jeśli taką

Niteczkę raz coś zaboli, coś zrazi, to może to życiem przyplacić. Niech Józio pomyśli, kto są, między nami mówiąc, tacy Polanieccy, taki Świrski i cała ta kompania, z którą żyje Zawilowski i z którą będzie może zmuszał żyć Niteczkę!

— A! z tego stanowiska rzecz bierzemy? — przerwał Osnowski. — Dobrze! Niech będzie z tego! Przedewszystkiem tedy, kto był stary pan Zawilowski, to ciocia wie dobrze, choćby ze względu na swój własny do niego stosunek. Jeśli cioci chodzi o sferę, to mam zaszczyt powiedzieć, że my wszyscy, w stosunku do takich Polanieckich, jesteśmy parweniuszami, i że to my poufaliśmy się z nimi. Ja się nigdy w żadne rodowody nie wdaję, ale skoro ciocia ich chce, to niechże je ciocia ma. O Świrskich musiała ciocia słyszeć, że są kniaziami. Ta linia przeniosła się do Wielkopolski, porzuciła tytuł, ale prawo do niego posiada. Oto, czem są oni. A co do nas, mój dziad był plenipotentem na Ukrainie i tego nie myślę się wypierać, skąd zaś wyrosli Broniczowie, ciocia wie lepiej ode mnie. Ja nie poruszałem tej materii, ale ponieważ jesteśmy sami, więc możemy mówić otwarcie. O Castellich także ciocia wie.

— Castellowie pochodzą od Marino Falieri!... — zawołała z uniesieniem pani Broniczowa.

— Kochana ciociu! przypominam, że jesteśmy sami.

— Ale od Niteczki tylko zależało zostać margrabiną Colimação.

— «La vie parisienne!» — odpowiedział Osnowski. — Zna ciocia tę operetkę? Jest w niej także admirał szwajcarski.

Pani Aneta bawiła się doskonale, Osnowskiemu jednak uczyniło się nagle przykro, że we własnym domu poruszył niemile dla pani Broniczowej wspomnienia, więc dodał:

— Ale na co to wszystko? Ciocia przecie wie, jak ja Niteczkę zawsze kochałem, i jak z duszy serca chciałbym, żeby się okazała godną Ignasia.

Lecz było to tylko dolaniem oliwy do ognia, pani Broniczowa bowiem, usłyszawszy bluźnierstwo, straciła do reszty zimną krew i zawołała z nowym wybuchem:

— Niteczka?... żeby się okazała godną Ignasia?... takiego...

Na szczęście, wejście pani Maszkowej przerwało dalszą rozmowę. Ciocia Broniczowa umilkła, jak gdyby oburzenie uwięziło jej słowa w ustach, pani Aneta zaś poczęła zaraz wypytywać panią Maszkową, co się dzieje z resztą towarzystwa i gdzie ich zostawiła.

— Pan Kopowski, Niteczka i Stefcia zostali

w oranżeryi — odpowiedziała pani Maszkowa; — one obie rysują storczyki, a pan Kopowski nas bawił.

— Czem? — spytał Osnowski.

— Rozmową... i uśmiealiśmy się serdecznie. Opowiadał nam, że jego znajomy, pan Wyż, który podobno jest wielkim heraldykiem, zaręczał mu zupełnie poważnie, że jedna rodzina w Polsce jest herbu «Stołowe nogi».

— Czy jedna?... — mruknął wesoło Osnowski. — Rodzina Kopowskich z pewnością!

— A Stefcia została także w oranżeryi? — zapytała pani Aneta.

— Tak. Razem rysują.

— Chcesz iść do nich?

— Dobrze.

Lecz w tej chwili służący przyniósł listy, które pan Osnowski, odebrawszy od niego, przeglądał i oddawał. «Dla Anetki, dla Anetki! — mówił — ta mała literatka ma zawsze ogromną korespondencyę... Dla pani — dodał, zwracając się do pani Maszkowej; — dla cioci... a to do Stefci... Znajomy jakiś charakter... całkiem znajomy... Panie pozwolą, że ja odniosę ten list».

— Owszem, idź tam — rzekła żywo pani Aneta. — My tymczasem przeczytamy nasze. Osnowski wziął list i poszedł w stronę cie-

plarni, przypatrując mu się i powtarzając przez drogę:

— Skądęś znam ten charakter... to jakby...
Wiem, że już widział to pismo!

W cieplarni znalazł troje młodych ludzi, siedzących pod wielkim arumem, przy żelaznym żółtym stoliku, na którym stał storczyk. Obie panny przerysowywały go w malarskich albumach. Kopowski zaś, nieco za nimi, przybrany we flanelowy biały kostium i czarne pończochy, zaglądał przez ramiona pańienek do albumów, paląc przytem cieniutkiego papierosa, którego przed chwilą wydobył z wykwintnej, leżącej koło doniczki, papierośnicy.

— Dzień dobry! — rzekł Osnowski. — Cóż moje storczyki? Pyszne, prawda? Co to za osobliwe kwiaty! Stefcu, jest tu do ciebie list... Przepróż tych państwa i przeczytaj, bo mi się zdaje, że znam charakter, a nie mogę sobie żadną miarą przypomnieć, czyjby mógł być.

Panna Ratkowska otworzyła list i poczęła czytać. Po chwili zmieniła się na twarzy, po czole jej przeszedł płomień, potem bladeść i znów płomień. Osnowski patrzył na nią z zaciekawieniem, ona zaś, skończywszy czytać, pokazała mu podpis i rzekła trochę drżącym głosem:

— Oto od kogo list...

— A!... — rzekł Osnowski, który nagle wszystko zrozumiał.

— Czy mogę cię prosić o chwilę rozmowy?

— Natychmiast, moje dziecko — odrzekł jakby z pewnem rozrzewnieniem Osnowski. — Służę ci.

I wyszli z cieplarni.

— A nas to przecie zostawili choć raz samych! — ozwał się naiwnie Kopowski.

Panna Lineta nie odpowiedziała nic, tylko wzięwszy leżącą na stole irchową papierošnicę Kopowskiego, poczęła się nią gładzić zlekka po twarzy. On zaś patrzył na tę piękną twarz swemi cudnemi oczyma, pod któremi poprostu tajała... Panna Lineta wiedziała oddawna, co o nim sądzić, jego bezgraniczna głupota nie miała już dla niej tajemnic, a jednak wykwintność i niezrównana uroda tego głuptaka wprawiała w jakiś niezwykle ruch jej nawpół włoską krew. Każdy włos w jego brodzie miał dla niej jakiś dziwny i nieprzeparty urok.

— Bo czy pani uważa, że nas to od jakiegoś czasu tak doglądają, jak nie wiem kogo? — mówił dalej Kopowski.

A ona, udając, że nie słyŝy, ciągle gładziła papierošnicą swoją delikatną twarz, i zbliżając ją coraz bardziej ku ustom, rzekła:

— Jaka ta ircha przyjemna w dotknięciu! Niech pan zobaczy, jakie to przyjemne...

Kopowski wziął papierośnicę, ale przyłożył ją do ust i począł całować zlekka miejsce, które przed chwilą dotykało twarzy Linety.

Wówczas nastąpiło między nimi milczenie.

— Musimy stąd odejść — rzekła panna Castelli.

I wzięwszy doniczkę ze storczykiem, chciała ją założyć na cieplarniane schodki, czego jednak, z powodu ich pochyłości, nie mogła uczynić.

— Niech pani pozwoli — rzekł Kopowski.

— Nie, nie! — odpowiedziała — upadnie i rozbije się. Założę z drugiej strony.

I to rzekłszy, z doniczką w ręku obeszła schodki i udała się na drugą ich stronę, gdzie między niemi a ścianą był wązki korytarzyk. Kopowski udał się za nią.

Tam, wstąpiwszy na kupkę cegieł, założyła doniczkę na najwyższy schodek, lecz w chwili, gdy chciała zejść, cegły poruszyły się pod jej stopami, tak, iż poczęła się chwiać. W tej również chwili stojący za nią Kopowski chwycił ją wpół.

— Co pan robi... to źle! — poczęła szeptać z falującą piersią, oblewając go gorącym oddechem.

On zaś, zamiast odpowiedzieć, wpił wąsy

w jej usta. Nagle ramiona jej objęły namiętym ruchem jego szyję, i bez tchu poczęła mu zapamiętałe oddawać pocałunki.

I w uniesieniu nie spostrzegli oboje, że Osnowski, wróciwszy przez otwarte drzwi cieplarni, przeszedł po miękkim piasku na schodki i patrzył na nich z twarzą zmienioną i bladą ze wzruszenia, jak płótno.

LVI.

Zawilowski bawił tymczasem między Warszawą a Buczynkiem, przejeżdżając codziennie i bawiąc po kilka godzin to tu, to tam, w miarę, jak nakazywały mu jego sprawy i zajęcia. Ponieważ ślub jego miał nastąpić jesienią, zaraz po powrocie z Scheveningen, Polaniecki powiedział mu, że czas już wyszukać mieszkanie i urządzić je choć jako tako. Obaj z Bigielem obiecali w tej sprawie wszelką pomoc, pani Bigielowa zaś miała się zająć gospodarską częścią urzędu. W Buczynku obecność Zawilowskiego była również potrzebna ze względu na stosunki z panną Heleną. Ta, jakkolwiek datowany z przed roku testament ojca uczynił ją jedyną spadkobierczynią całego ogromnego ma-

jątku, nie ukrywała bynajmniej, iż wie, że ojciec nie zrobił innego testamentu tylko dlatego, że albo nie przewidywał tak prędkiej śmierci, albo, zwyczajem starych ludzi, z dnia na dzień odkładał. Nie miała jednak najmniejszej wątpliwości, iż ojciec chciał coś uczynić dla imiennika i krewnego — i mówiła otwarcie, że poczytuje sobie za obowiązek sumienia spełnić ojcowską wolę. Nikt nie umiał wprawdzie przewidzieć, w jakiej mierze postanawia to uczynić, i jej samej, przed spisaniem dokładnego inwentarza wszystkich majątków i kapitałów, trudno było na podobne pytanie odpowiedzieć; tymczasem jednak poczęła obdarzać Zawilowskiego tem wszystkim, co, wedle jej mniemania, powinni byli męscy spadkobiercy dziedziczyć. W ten sposób oddała mu część kredensu po nieboszczyku, znaczny i cenny zbiór broni, w której zmarły się kochał, zbyt kosztowne, unilowane przez staruszkę konie, które Polaniecki wziął w komis — i następnie ową kolekcję fajek, o której losy tak w swoim czasie troszczył się Kopowski.

Zimna i pozornie obojętna dla wszystkich, oniesmielająca ludzi surowym i skupionym wyrazem twarzy, miała dla jednego tylko Zawilowskiego jakieś matczyne niemal odcienie w głosie i spojrzeniu, jakby razem z majątkiem odzie-

dziczyła po starym ojcu i przychylność dla młodego człowieka. Jakoż i rzeczywiście był on jedyną na świecie istotą, z którą łączyły ją pewne węzły krwi, a przynajmniej tożsamość nazwiska. Dowiedziawszy się od Polanieckich o zachodach Zawilowskiego co do urzędzenia mieszkania, prosiła Polanieckiego, by na wydatki tegoż urzędzenia złożył od niej w banku sporą sumę na imię «pana Ignasia», prosząc jednak, by mu odrazu o tem nie wspominał.

Zawilowski, który miał młode i wdzięczne serce, przywiązał się do niej prędko — jak do starszej siostry — i ona to czuła doskonale. Była to wzajemna sympatya dwóch natur, które życzą sobie dobra i mają do siebie ufność. Czas przeradza zwykle tego rodzaju początkowe sympatye w ogromnie trwałą przyjaźń, która w złych zmianach życia może być również ogromnem oparciem. Ale w tej chwili Zawilowski mógł jej poświęcić drobnouchną zaledwie część duszy, gdyż i duszę, i serce, i wszystkie siły włożył z całą wyłącznością fanatyka w miłość dla ubóstwianej coraz bardziej «Niteczki».

Tymczasem zaś kręcił się, jak mucha w ukropie, i między Buczynkiem a miastem czynił nawet nowe znajomości. Jedną z nich był profesor Waskowski, który wrócił ze swej pielgrzymki między «najmłodszych z Aryów». Zwiedził wszystkie

pobrzeża morza Adryatyckiego i cały półwysep Bałkański, ale stan jego zdrowia tak był opłakany, że Połanieccy zabrali go na stałe do Buczynka, by ochronić go od wyzyskiwania i dać mu odpowiednią opiekę, której w swoim osamotnieniu byłby gdzieindziej nie znalazł. Zawilowski, który sam był człowiekiem egzaltowanym i gotowym odczuć wszelką szerszą ideę, choćby wydawała się wszystkim rozsądnym głupcom niedorzeczną, pokochał od pierwszego dnia starego profesora, razem z jego teorią historycznej misji, przeznaczoną najmłodszym z Aryów. O teorii tej słyszał już poprzednio niejednokrotnie od Świrskiego i Połanieckich — i uważał ją za wspaniałe marzenie. Lecz i jego, i Świrskiego, i Połanieckich uderzyło teraz to, że profesor po powrocie ze swej podróży prawie o niej nie wspominał. Gdy go zapytywano o jego książkę i podróż, odpowiadał tylko: «Nikt nie może się uchylić od służby, którą mu Chrystus przeznaczył» — poczem wlepił przed siebie swoje mistyczne oczy, jakby czegoś szukał, lub czegoś upatrywał w nieskończoności — i stara twarz jego przybierała wyraz tak głębokiego smutku, a nawet takiego bólu, że nikt nie miał serca poruszać szczegółowiej tej kwestyi. Wezwany przez Połanieckich lekarz oświadczył, że zbyt tłusta kuchnia najmłodszych z Aryów na-

bawiła starego człowieka kataru żołądka, do czego przyłączył się «marasmus senilis». I profesor rzeczywiście miał ciężki katar żołądka, ale Zawilowski odgadywał w nim jeszcze co innego, mianowicie rozpaczliwą walkę między tem, w co wierzył i czemu, jak prawdziwy idealista-maniak, poświęcił całe życie, a zwątpieniem. Jeden Zawilowski rozumiał całą tragedję takiego końcowego: «ergo erravi» — i wzruszał się nią podwójnie, bo jako człowiek z sercem i jako poeta, który widział natychmiast temat do poematu: obraz starca, siedzącego w słońcu przed domem, na ruinie życia, wierzeń i czekającego ze słowami: «marność marności» na śmierć, której krok słyhać z oddalenia.

Z profesorem jednak może jeszcze nie było tak źle, jak sobie wyobrażał Zawilowski. «Najmłodszy z Aryów» mogli go wprawdzie zawieść, ale pozostała wiara, że chrześcijaństwo nie wypowiedziało jeszcze ostatniego swego słowa, i że następna epoka w życiu ludzkości nie będzie czem innym, jeno rozszerzeniem ducha Chrystusowego i przeniesieniem go ze stosunków między jednostkami na stosunki ogólnoludzkie. «Chrystus w dziejach» nie przestał być dla niego widzeniem przyszłości. Wierzył nawet zawsze, że misja wprowadzenia miłości do dziejów

przeznaczona została najmłodszym z Aryów — tylko od czasu podróży ogarnął go głęboki smutek, zrozumiał bowiem, że przedtem jeszcze nie tylko on, ale całe pokolenia muszą pomrzeć na katar żołądka, spowodowany niestrawną kuchnią księstw naddunajskich.

Tymczasem zamknął się w sobie i w milczeniu, które miało raczej pozory goryczy życiowej, niż było nią rzeczywiście. O swojej «idei» wprost prawie nie mówił, widać jednak było, że, jak wskazówki zegara, zatrzymane na jednej godzinie, zawsze pokazują tylko tę jedną, tak i wskazówka jego umysłu nie schodziła z owej idei; na rozmaite bowiem pytania odpowiadał słowami, które były raczej w związku z nią, niż z rzeczą, o którą go pytano. Ilekroć chciano przywołać go do rzeczywistości, trzeba go było budzić. Zaniedbał się też do reszty w ubraniu i codzien więcej zdawał się zapominać, że naprzykład guziki przy kamizelce służą do tego, by było na co ją zapiąć. Ze swoim wiecznym roztargnieniem, ze swemi oczyma zarazem krótkowidza i dziecka, odbijającemi niejako mechanicznie wrażenia zewnętrzne, z twarzą zamysłoną, na której wypieki stały się wskutek złego trawienia jeszcze silniejsze, nakoniec w zaniedbanem ubraniu i dziwacznych pantalonach, które, niewiadomo dlaczego, nosił

dwa razy tak szerokie jak wszyscy, budził w obcych wesołość i stawał się często przedmiotem mniej lub więcej złośliwych żartów. Zdaje się, że podobne uczucia budził przede wszystkim w «najmłodszych z Aryów». Wogóle poczytywano go za człowieka, którego klepkom w głowie brak obręczy. Niektórzy okazywali mu nawet politowanie. Wyraz «nieškodliwy» odbijał się często w jego uszach, ale on zdawał się go nie słyszeć.

Czuł jednak, że u Polanieckich jest mu dobrze, że nikt nie wyśmiewa się z niego, ani też nie okazuje mu takiej litości, jaką okazuje się idyocie. Zresztą, ani zbyt tłusta kuchnia «najmłodszych z Aryów», ani katar żołądka nie odjęły mu jego niezmiernej wyrozumiałości i przychylności dla ludzi. Był to zawsze ten sam stary profesorzyśko, który zapominał o sobie, ale odzyskiwał przytomność, gdy chodziło o innych. Po staremu kochał Marynię Polaniecką, Polanieckiego, panią Emilię, Świrskiego, Bigielów, nawet Maszkę, słowem wszystkich, z którymi zbliżyło go życie. W ogólności miał o ludziach jakieś dziwne pojęcie, że wszyscy, czy chcą, czy nie chcą, czemuś służą, i że są jakby pionkami, które posuwa ręka Boża w wiadomych sobie celach. Artystów takich, jakim był

Świrski, uważał za posłanników, którzy «przejednywają».

W taki sam sposób patrzył na Zawilowskiego, którego poezye czytał poprzednio. Poznawszy ich autora, przypatrywał mu się tak ciekawie, jakby jakiejs osobliwości, nazajutrz zaś, gdy młody człowiek odjechał do miasta, i gdy przy herbacie poczęto o nim mówić, podniósł palec i, zwróciwszy się do Maryni, rzekł z tajemniczą miną:

— O! to Boży ptak! Ani on wie, co mu Bóg na głowie napisał i do czego go przeznaczył.

Marynia poczęła mu opowiadać o blizkiem małżeństwie Zawilowskiego, o jego uczuciu dla panny Linety i o niej samej, wychwalając jej dobroć i piękność.

— Tak! — rzekł, wysłuchawszy profesor. — Widzisz? I ona ma swoją misję, i ona «wybrana». Bóg jej kazał czuwać nad takim płomieniem, a skoro została wybrana, to trzeba ją czcić jak wybraną... Widzisz? Łaska jest nad nią.

Poczem zamyślił się i dodał:

— Wszystko to jest dla ludzkości droga w przyszłość.

Połaniecki spojrział na żonę, jakby jej chcąc powiedzieć wzrokiem, że profesor marzy bez

związku, lecz on przymrużył nieco oczy i, patrząc przed siebie, mówił dalej:

— Bo jest na niebie droga mleczna, i jak Bogu potrzeba, to bierze z niej kurzawę i tworzy nowe światy. A widzicie, ja myślę, że jest taka sama droga mleczna duchowa, złożona ze wszystkiego, co ludzie myśleli i czuli. Wszystko w niej jest: i to, co zrobili geniusze, i dzieła talentów, i wysiłki n.yśli męskiej, i uczciwość kobiecych serc, i ludzka dobroć, i ludzkie bóle: nic nie ginie, choć wszystko się w pył obraca, bo z tego pyłu, za wolą Boską, tworzą się nowe duchowe światy dla ludzi.

Tu jął mrugać oczyma, rozważając to, co powiedział — poczem, jakby przebudziwszy się, począł szukać guzików u kamizelki i dodał:

— A ta panienska musi mieć duszkę czystą, jak łza, skoro Bóg wskazał ją palcem i przeznaczył jej być stróżem tego ognia.

Przyjazd Świrskiego przerwał dalszą rozmowę. Dla Maryni nie był on niespodzianką, albowiem malarz zapowiedział jej, że albo sam przyjedzie, albo do niej napisze, jaki obrót wzięła jego sprawa. Marynia, ujrzawszy go teraz przez okno, była prawie pewna, że wszystko skończyło się pomyślnie, lecz on, wszedłszy do pokoju i powitawszy się ze wszystkimi, spoglądał

na nią z miną tak dziwną, że nie wiedziała, co z niej wywróżyć.

Widocznie chciało mu się mówić o sprawie, i to zaraz, nie chciał jednak tego czynić przy Polanieckim i Waskowskim. Polaniecki też, przed którym Marynia wygadała się o co idzie, przyszedł mu w pomoc i, wskazawszy na żonę, rzekł:

— Jej trzeba dużo chodzić; niech ją pan weźmie do ogrodu, bo wiem, że macie z sobą do pomówienia.

I po chwili oboje znaleźli się w alei wśród białodrzewów. Czas jakiś szli w milczeniu, on, kolysząc się na swych szerokich biodrach atlety i szukając od czegooby zacząć, ona podana nieco naprzód, z twarzą dobrą i rozciekawioną. Obojgu pilno było do rozmowy, jednakże Świrski zaczął od czego innego.

— Pani powiedziała wszystko mężowi? — spytał nagle.

Marynia zaczerwieniła się, jakby złapana na występku, i odrzekła:

— ...Bo Stach taki dla pana życzliwy i ja nie chcę mieć dla niego tajemnic.

Świrski ucałował jej rękę.

— Ale owszem! dobrze! Ja się tego nie wstydzę, również jak i tego, że dostał kosza.

— Nie może być! Pan żartuje — rzekła, zatrzymując się, Marynia.

— Słowo pani daję!

I widząc przykrość, jaką jej sprawiła nowina, począł mówić, jakby z troskliwością:

— Tylko niech pani nie bierze tego do serca więcej ode mnie. Stało się, co się miało stać. Ot, przyjechałem tu, stoję przed panią, nie strzeliłem sobie w łeb i nie myślę tego robić, ale swoją drogą, com dostał kosa, tom dostał.

— Ale dlaczego? co panu odpowiedziała?

— Dlaczego? co mi odpowiedziała? — powtórzył Świrski. — Widzi pani, w tem właśnie jest coś, od czego mi trochę gorzko w ustach. Ja przyznam się pani szczerze, że w pannie Ratkowskiej bardzo się nie kochałem. Podobała mi się (one mi się wszystkie podobają), myślałem, że to będzie wdzięczne i pocziwe serce, i dlatego się niby tu oświadczył. Ale więcej przez rozum — i że mi czas! Potem miałem nawet trochę zgagi. Była nawet chwila, żem sobie powiedział: «Twoje oświadczyńy w Buczynku nie były zbyt wyraźne, lepiej puśćże to jeszcze kantem». Ale zrobiło mi się wstyd. Co u licha, myślę sobie, przestąpiłeś próg jedną nogą, przestąpże i drugą. I napisałem do niej list, tym razem już zupełnie wyraźny, a ot, co mi odpisano!

To rzekłszy, wyjął z kieszeni surduta list, lecz nim zaczął go czytać, rzekł jeszcze:

— Z początku są zwykle komunały... Jak to pani wie! — Szanuje mnie ogromnie, byłaby dumna i szczęśliwa (ale woli nie być), żywi dla mnie szczerą sympatyę (jeśli tak będzie żywić męża, jak tę sympatyę, to nie będzie tłusty), w końcu zaś powiada tak:

«Nie jestem w możności oddać panu serca z taką radością, na jaką pan zasługuje. Wybrałam inaczej — i jeśli nie będę nigdy szczęśliwa, nie chcę przynajmniej wyrzucać sobie później, że byłam nieszczera. Wobec tego, co u nas zaszło, nie mogę pisać dłużej, niech mi pan jednak wierzy, że będę mu całe życie wdzięczna za zaufanie i że od dziś zacznę codziennie prosić Boga, by panu pozwolił znaleźć godne pana serce i w całym życiu błogosławił...»

Oto wszystko!

Nastąpiła chwila milczenia, potem Świrski rzekł:

— To są, co się mnie tycze, puste słowa, ale to znaczy: kocham innego.

— Zdaje się, że tak jest — odrzekła ze smutkiem Marynia. — Biedna dziewczyna, bo to jednak poczciwy list.

— Poczciwy list! poczciwy list! — zawołał Świrski. — One wszystkie takie poczciwe! Oto dłączego trochę mi gorzko. Nie chce mnie?

dobrze! To każdej wolno. Kocha się? To także każdej wolno. Ale w kimże się kocha? Przecie nie w Osnowskim, ani w Zawilowskim, więc w kim? Oto w tej galce od laski, w tej kucielce, w tym piękniśiu, w tym modelu krawieckim, w tym ideale panien służących! Widziała pani takich ślicznych panów na sztukach perkalów? — to zupełnie on! Gdyby stał w oknie u fryzjera, to panny wygniotłyby szybę. Pamięta pani, com o nim powiedział: damski hurys! I to jest gorzkie! i to jest niesmaczne — (mówił z coraz większem rozdrażnieniem, akcentując ze szczególniejszą siłą wyraz: jest) — i to źle mówi o kobietach, bo, bądźże tu, człowieku, Newtonem, Rafaelem, Napoleonem — i chciej za całą nagrodę jednego serca, jednej kobiecej głowy! Nieprawda! Ona woli jakiegoś lukrowanego Bibisia. Ot, jakie one są!

— Nie wszystkie, panie, nie wszystkie! Zresztą pan, jako artysta, powinien wiedzieć, co to jest uczucie. Padnie coś na człowieka i skończyło się wszelkie rozumowanie.

— Nie — rzekł spokojniej Świrski; — ja wiem, że nie wszystkie. A co do miłości, pani mówi: «Padnie coś i skończyło się». Może! To niby jak choroba.... Ale istnieją choroby, na które szlachetniejsze gatunki istot nie chorują. Istnieje na przykład choroba racic. Pozwoli pani powie-

dzieć, że trzeba mieć racice, żeby jej dostać. Nie było jednak chyba wypadku, żeby gołębicą zakochała się w dudku, choć to bardzo ładny ptak. Widzi pani — na gołębicę to nie padnie... W dudkach kochają się dudkówny. I niech się sobie kochają, byle nie udawały gołębic. Mnie tylko o to chodzi... Niech pani sobie przypomni, jak niegdyś u państwa Bigielów wygadywałem na pannę Castelli. A jednak ta woląla ostatecznie Zawilowskiego. Mnie chodzi o te fałszywe aspiracye, o tę nieszczerłość, o ten frazes. Skoro jesteś dudkówną — miejże odwagę do tego się przyznać. Nie udawaj, nie kłam, nie zwódź. Przecie ja, człowiek doświadczony, szyję-bym był oddał za to, że taka panna Ratkowska nie jest poprośtu w stanie zakochać się w takim Koposiu, a jednak tak jest! Ja się pocieszę, tu mnie nie o siebie chodzi, tylko o tę komedye, o to konwencyonalne kłamstwo — i nie o pannę Ratkowską, ale o to, że taki typ, jak Koposia, zwycięża.

— Tak — rzekła Marynia. — Trzebaby tylko wiedzieć, dlaczego wszystko tak się jakoś poplątało.

Lecz Świrski machnął ręką:

— Właściwie mówiąc, — rzekł — to się raczej rozplątało. Gdyby była za mnie wyszła, byłbym ją pewno w końcu na ręku nosił. Daję

pani słowo!... We mnie się nagromadziło ogromnie dużo tkliwości. Byłbym dla, niej dobry i byłoby nam dobrze. Tego mi też trochę żal. Ale przecie nie ona jedna na świecie. Pani mi znajdzie jaką poczciwą duszę, która mnie zechce. I prędko, moja droga pani, bo doprawdy, że czasem już nie mogę wytrzymać. Dobrze?

Marynia poczęła się rozweselać, widząc, że sam Świrski niebardzo bierze do serca utratę panny Ratkowskiej. Lecz, zastanawiając się teraz spokojniej nad jej listem, przypomniawszy sobie jeden jego frazes, na który z początku, cała zajęta sprawą odmowy, nie zwróciła uwagi — i zaniepokoiła się nim.

— Czy pan zauważył, — spytała — że ona w jednym miejscu mówi: «Po tem, co się u nas stało, nie mogę pisać dłużej». Czy pan nie domyśla się, co się tam mogło stać?

— Może Kopusio już się oświadczył.

— Nie. W takim razie napisałaby to wyraźnie. Jeśli ona przywiązała się do niego, to naprawdę biedna dziewczyna, bo ona podobno nie ma żadnego majątku, a pan Kopowski także jakoby niebogaty, więc wątpliwa rzecz, czy się zdecyduje.

— Prawda — rzekł Świrski. — Wie pani, że mnie samemu przychodziło to na myśl. Ona

się w nim kocha, to nie ulega kwestyi, ale on się z nią nie ożeni.

Nagle zatrzymał się i rzekł:

— W takim jednak razie, po co on tam siedzi?

— Bawią się nim i on się bawi — odpowiedziała pośpiesznie Marynia, odwracając przytem nieco twarz, aby Świrski nie dostrzegł jej zmieszania.

I odpowiedziała niezszybkowo. Od czasu, jak Polaniecki podzielił się z nią swemi spostrzeżeniami co do stosunku Kopowskiego z panią Osnowską, myślała o tem często, i pobyt młodzieńca w Przytułowie jej samej wydawał się nieraz podejrzanym, a upozorowanie go za pomocą panny Ratkowskiej niegodziwością. Niegodziwość stała się tem większą, jeśli panna Ratkowska naprawdę zakochała się w Kopowskim. Ale wszystkie te intrygi mogły jednak lada chwila wyjść na wierzch, i Marynia rozmyślała teraz z niepokojem, czy słowa panny Ratkowskiej: «po tem, co się u nas stało» — nie mają takiego właśnie znaczenia. W takim razie byłoby to prawdziwą katastrofą i dla tego poczciwego pana Osnowskiego, i dla panny Stefcy.

Istotnie, wszystko mogło się poplątać w tragiczny sposób.

— Ja jutro wybieram się do Przytułowa —

rzekł Świrski. — Chcę umyślnie być u Osnowskich, żeby pokazać, iż nie żywię do nikogo urazy. Jeśli tam się co naprawdę stało, albo jeśli ktoś zachorował, to będę wiedział i dam państwu znać. Zawilka tam przecie w tej chwili niema.

— Nie, pan Ignas bawi w mieście. Jutro albo pojutrze pewnie wpadnie tu, albo do Jaśmienia. Stach dziś także wybiera się do miasta. Moja przyjaciółka, siostra Aniela, bardzo jest niezdrowa, i chcemy ją do nas ściągnąć, a że ja nie mogę jechać, więc jedzie Staś.

— Siostra Aniela? To ta, którą mąż pani nazywa panią Emilią... Fra Angelico!... twarz zupełnie świętej. Sliczna twarz! Widziałem ją coś dwa razy u państwa. Ot, żeby taka nie była zakonnica...

— I chore biedactwo. Prawie już nie może chodzić... Dostała ze zbytnej pracy choroby krzyża.

— Oj, to bieda — rzekł Świrski. — Będą państwo mieli profesora i tę biedaczkę... Jacy wy jednak jesteście dobrzy ludzie!

— To Stach! — odpowiedziała Marynia.

W tej chwili na końcu alei pokazał się Polański i śpiesznym krokiem podszedł ku nim.

— Słyszałem, że pan dziś jedzie? — rzekł Świrski: — zabierzemy się razem.

— Dobrze.

I zwróciwszy się do żony, rzekł:

— Maryniu, a czy nie dosyć chodziłaś? Chcesz się na mnie oprzeć?

Marynia wzięła go pod ramię, i razem poszli do werendy, poczem weszła do pokoju, by kazać podać popołudniową herbatę.

Polaniecki zaś zbliżył się żywo do Świrskiego:

— Odebrałem dziwną depeszę, — rzekł — której nie chciałem pokazać przy żonie. Osnowski pyta mnie, gdzie jest Ignas, i wzywa, bym w jego sprawie przyjechał jutro do miasta. Co to może być?

— To dziwna rzecz — odpowiedział Świrski. — Mnie panna Ratkowska pisała, że tam się coś stało.

— Czyby kto zachorował?

— Toby wezwano wprost Zawilowskiego... Gdyby panna Castelli, albo pani Broniczowa... wezwanoby go natychmiast...

— A gdyby go Osnowski nie chciał przestraszać, toby do mnie zatelegrafował.

I obaj poczęli patrzeć sobie z niepokojem w oczy.

LVII.

Nazajutrz, w pół godziny po przyjeździe Połanieckiego, zadzwonił do niego Osnowski. Połaniecki, na odgłos dzwonka, poszedł sam otworzyć. Od wczoraj żył w wielkim niepokoju. Przepuszczał oddawna, że w Przytulowie może lada dzień bomba wybuchnąć, ale napróżno bił się z myślami, jaki związek może mieć jej wybuch z Zawilowskim.

Osnowski uściśnął mu rękę na powitanie ze szczególniejszą siłą, jak się czyni w wyjątkowych okolicznościach życia, a gdy Połaniecki poprosił go do swego gabinetu, po drodze spytał:

— Pani bawi w Buczynku?

— Tak jest — odpowiedział Połaniecki; — jesteśmy zupełnie sami.

W gabinecie, Osnowski, usiadłszy na wskazanem krześle, schylił głowę i przez chwilę milczał, oddychając przytem śpiesznie, albowiem, wskutek nadmiernego trenowania się, cierpiał trochę na rozedmę płuc, teraz zaś wzruszenie i schody zatamowały mu jeszcze bardziej oddech. Połaniecki czekał jakiś czas cierpliwie, wreszcie wrodzona mu żywość przemogła, i spytał:

— Co się stało, panie!

— Stało się nieszczęście — odrzekł z głębokim smutkiem Osnowski. — Malżeństwo Ignasia zerwane.

— Malżeństwo zerwane? Dlaczego?

— Są to rzeczy tak przykre, że lepiej dla Ignasia nie wiedzieć powodów. Czas jakiś wahałem się nawet, czy o nich nie zamilczeć, ale nie!... Trzeba, żeby się o wszystkim dowiedział, bo tu chodzi o coś ważniejszego, niż jego miłość własna. Może oburzenie i wstręt dopomogą mu do zniesienia nieszczęścia. Malżeństwo jest zerwane, bo panna Castelli nie jest warta ręki takiego, jak on, człowieka — i gdyby dziś jeszcze mogła być mowa o naprawieniu tego stosunku, ja pierwszy położyłbym stanowcze veto.

Tu pan Osnowski począł znów łowić oddech, Polaniecki zaś, który słuchał dotąd, jak wryty, jego słów, wybuchnął nagle:

— Ale na miły Bóg, co takiego zaszło?

— Zaszło to, że te panie od trzech już dni wyjechały za granicę z Kopowskim, jako narzeczonym panny Castelli.

Polaniecki, który przed chwilą zerwał się był z krzesła, siadł teraz napowrót. Na twarzy jego, przy całym wzruszeniu i niepokoju, odbiło się niewypowiedziane zdumienie. Czas jakiś patrzył na Osnowskiego, poczem, jakby nie mogąc zebrać myśli, rzekł:

— Kopowski?... także i z panną Castelli?..

Lecz Osnowski zbyt był zajęty samą sprawą, by mógł zwrócić uwagę na szczególną formę pytania Polanieckiego.

— Niestety! — rzekł — pan przecie wiesz, że ja jestem w pokrewieństwie z temi paniami; matka moja była cioteczną siostrą pani Broniczowej, a zatem także matki Linety, i czas jakiś chowały się razem. Rozumiesz pan, że raczej pragnąłbym je oszczędzić. Ale mniejsza z tem. Stosunki nasze są zerwane, a przytem choćby panna Castelli była moją rodzoną siostrą, powiedziałbym panu o niej to samo, co teraz powiem. Co do Zawilowskiego, ponieważ oboje z żoną wyjeżdżamy także — i to dziś, mogę go nie znaleźć. Powiem nawet otwarcie, że mi brak odwagi z nim mówić, ale panu powtórzę wszystko, com widział. Pan, jako bliższy jego przyjaciel, może potrafisz złagodzić cios; trzeba jednak, żeby Ignas wiedział o wszystkim, bo na tego rodzaju nieszczęścia niema lepszego lekarstwa, niż obrzydzenie.

Tu począł opowiadać Polanieckiemu, co widział w cieplarni, wzruszając się przytem, tracąc chwilami oddech, a zarazem nie mogąc się oprzeć pewnemu zdziwieniu na widok gorączki, z jaką go słuchał Polaniecki. Spodziewał się po nim więcej zimnej krwi, nie mógł zaś się do-

myśleć, że Polaniecki ma osobiste powody, dla których tego rodzaju opowiadanie gra silniej na jego nerwach, niż mogłaby to uczynić nawet wiadomość o śmierci Zawilowskiego, lub panny Castelli.

— W pierwszej chwili straciłem głowę — mówił dalej Osnowski; — nie jestem człowiekiem gwałtownym, ale jakim sposobem nie polamałem mu kości, nie wiem. Możem pamiętać, że jest moim gościem, może, że tu chodzi o rzeczy ważniejsze, niż on, może pomyślałem o Ignasiu, może nie myślałem o niczem. Straciłem głowę i wyszedłem. Po chwili, wróciwszy, powiedziałem mu, żeby poszedł za mną. Widziałem, że był blady, ale zdecydowany. U siebie powiedziałem mu, że postąpił niegodnie, że nadużył gościnności uczciwego domu, i że Lineta jest nędznicą, dla której nie mam dość słów pogardy, że małżeństwo jej z Zawilowskim jest tem samem zerwane, ale że jego zmuszę do ożenienia się z nią, choćbym miał się uciec do wszelkich ostateczności... Tu się pokazało, że oni musieli się już naradzić przez ten czas, w którym zostawiłem ich samych, odpowiedział mi bowiem, że się oddawna w Linecie kocha i że gotów jest w każdej chwili z nią się ożenić. Co do Zawilowskiego — czułem, że Kopowski powtarza słowa, które mu podyktowała Lineta,

gdyż powiedział mi to, na coby się sam nie zdobył: że gotów jest dać Zawilowskiemu wszelką satysfakcyę, ale że nie potrzebował się z nim liczyć, bo nie ma dla niego żadnych obowiązków... «Że panna Lineta wybrała ostatecznie mnie, to — powiada — tem gorzej dla niego, ale to jej rzecz...» Co się tymczasem działo między ciotką a Linetą, nie wiem, dość, że nim skończyłem z Kopowskim, ciotka Broniczowa wpadła do mnie, jak furya, z wyrzutami, że to my oboje z żoną nie pozwoliliśmy Linecie pójść za naturalnym popędem, serca, że narzuciliśmy jej Zawilowskiego, którego nigdy nie kochała, że Lineta plakiwała po całych nocach, że przypłaciłaby to małżeństwo życiem, że to wszystko, co się stało, było wyraźną wolą boską... i tak z godzinę!... My winni, Zawilowski winien, tylko one bez skazy!

Tu Osnowski począł trzeć ręką czolo i rzekł:
— Ach, panie! Mam trzydziesty szósty rok i anim sobie wyobrażał, co to jest kobieca przewrotność. Wie pan, że taka niepojęta zdolność odwracania rzeczy na wierzch podszewką dotąd nie chce mi się w głowie pomieścić. Rozumiem przecie, jaka była sytuacya. Rozumiem, że pojęły, iż z Zawilowskim wszystko skończone, choćby dlatego, że ja przeszkodzę, i że nie pozostaje im nic — tylko Kopowski. Ale ta łatwość

robienia czarnego białem, a białego czarnem!... ten brak zmysłu moralnego, zmysłu prawdy i sprawiedliwości... ten egoizm bez dna i miary!... Lichoby je wreszcie pobrało, gdyby nie to, że chodzi o Ignasia!... Byłby z nimi najnieszczęśliwszy, ale dla człowieka tak egzaltowanego i tak zakochanego co to za cios!... co to za zawód!... A i ta Lineta!... Ktoby był przypuścił!... Taki dureń! taki dureń!... I to dziewczyna niby pełna porywów, która przed kilku tygodniami zamieniła pierścionki, dała słowo!... i to narzeczona takiego Zawilowskiego!... Dalibóg, można zmysły stracić!

— Można zmysły stracić — powtórzył jak echo Połaniecki.

Nastala chwila milczenia.

— I to dawno się stało? — spytał wreszcie Połaniecki.

— Trzy dni, jak wyjechali razem do Scheveningen. Wyjechali zaś zaraz tego samego dnia. Kopowski miał paszport z sobą. Patrz pan, jak największy osieł zdobędzie się jednak na chytróść! On miał gotowy paszport, bo udawał, że się stara o moją kuzynkę, Ratkowską, i zamierzał niby jechać razem z nami za granicę. Udawał, że się o tamtą starał, żeby tę mógł bałamucić. Aj, biedny ten Ignas, biedny! Daję panu słowo, że gdyby był moim bratem,

nie miałbym dla niego więcej współczucia... Lepiej!... lepiej, że się nie związał z taką... Linetą, z taką półwłoszką, ale co to za rozdarcie!...

Tu Osnowski wy dobył chustkę i począł nią przecierać binokle, mrugając przytem oczyma, z twarzą strapioną i bezradną; Połaniecki zaś spytał:

— Czemu pan pierwszej nie dał znać?

— Czemu pierwszej nie dałem znać? Bo mi żona zachorowała. Ataki nerwowe... Bóg wie co!... Pan nie uwierzy, jak ona to do serca wzięła. I nic dziwnego!... Taka kobieta — i że to w naszym domu! Przy jej wrażliwości, to i dla niej był cios, bo i zawód ze strony Linety, którą tak kochała, i żal Ignasia, i to zetknięcie się ze złem, i obrzydzenie!... Na taką czystą i uczciwą naturę to więcej, niż trzeba... W pierwszych chwilach myślałem, że mi ciężko zachoruje, a i teraz jeszcze mówię: daj Boże, żeby się to nie odbiło zgubnie na jej nerwach! My nie umiemy sobie poprostu zdać sprawy, co się dzieje w takiej duszy na sam widok złego.

Połaniecki popatrzał uważnie na Osnowskiego, przygryzł wąsy i milczał. Ten zaś po chwili mówił dalej:

— Posłałem po doktora i drugi raz straciłem głowę. Na szczęście była Stefcia Ratkowska

i ta poczciwa pani Maszkowa. Obie tak się serdecznie zajęły Anetką, że im będą całe życie wdzięczny. Pani Maszkowa na pozór zdaje się zimna, a to takie serdeczne stworzenie!...

— Ja sędzę wprost, — rzekł Połaniecki, chcąc odwrócić rozmowę od pani Maszkowej — że gdyby stary Zawilowski zostawił był Ignasiowi jaki majątek, toby to wszystko nie miało miejsca.

— Być może, — odpowiedział Osnowski — ale dla mnie nie ulega wątpliwości, że gdyby Lineta wyszła za Ignasia, to choćby w dodatku posiadał jeszcze cały majątek pana Zawilowskiego, niemniej instynkt jej ciągnąłby ją w stronę wszystkich takich Kopowskich, jakichby jej przyszło w życiu spotkać. To tego rodzaju dusza. Ja jednak niektóre rzeczy rozumiem. Powiedziałem, że można zmysły stracić na myśl, że tak jest, jak jest, ale częściowo zdaję sobie sprawę z tego, co zaszło. To za płaska natura, by mogła pokochać naprawdę takiego Zawilowskiego. Jej potrzeba Kopowskich. Ale wmawiano w nią rozmaite wyższe porywy, a w końcu i ona sama wmówiła w siebie to, czego nie było. Ignasia pociągnęły przez próżność, przez miłość własną, dla opinii ludzkiej i przez nieznaną sobie samych. Ale co jest nieszczerze, to i nie może trwać. Z chwilą, gdy ich próżność została

zadowoloną, Ignas przestał im wystarczać. Potem zlekły się, że może z nim nie będzie takiego życia, jakie one jedynie cenia, może obie począł utrudzać jego za wysoki dla nich nastrój. Dodaj pan do tego tę historję testamentu, która nie będąc zapewne główną przyczyną katastrofy, zmniejszyła jednak Ignasia w ich oczach, dodaj przedewszystkiem instynkty Linety, dodaj Kopowskiego, a będziesz miał na wszystko odpowiedź. Są kobiety, takie jak pańska żona, albo jak moja Anetka, a są i takie, jak one!...

Tu pan Osnowski zamknął znów na chwilę, poczem rzekł:

— Widzę już i zmartwienie i oburzenie pańskiej żony, a żałuję, żeś pan nie widział, jak to przyjęła moja... albo nawet taka pani Maszkowa. Tak! są kobiety i kobiety... Aj, panie, panie! powinniśmy codzień na kolanach Bogu dziękować, że nam dał takie, jakie mamy!

I aż głos zadrgał mu wzruszeniem.

Połaniecki zaś, pomimo, iż na razie chodziło mu głównie o Zawilowskiego, wprost zdumiewał się, jakim sposobem człowiek ten, który przed kilku minutami rozumował tak trafnie i głęboko, mógł być zarazem tak naiwnym. Brał go też gorzki śmiech na wzmiankę Osnowskiego o oburzeniu Maszkowej. Wogóle ogarnęło go

poczucie jakiejś przygniatającej ironii życia, której całego bezmiaru nigdy dotąd nie widział tak jasno.

— Pan nie będziesz widział Zawilowskiego? — spytał po chwili.

— Powtarzam panu otwarcie, że nie czuję w sobie dość odwagi; dziś wracam do Przytułowa i dziś z naszej stacyi wyjeżdżamy. Żonę muszę wywieźć, raz dlatego, że sama mnie o to ze łzami prosiła, a powtóre, że od zmiany wrażeń może zależeć jej zdrowie. Pojedziemy gdzieś nad morze, byle nie do Scheveningen, tam, gdzie pojechały one z Kopowskim. Ale mam do pana jedną wielką prośbę. Pan wie, jak ja Ignasia kocham i cenię. Niech mi pan napisze, jak on biedaczysko to przyjmie, i co się z nim będzie działo. Prosiłbym o to Świrskiego, ale może go nie zobaczę.

Tu zakrył twarz i rzekł:

— Aj! jakie to wszystko smutne! jakie smutne!

— Dobrze — rzekł Polaniecki. — Przyślij mi pan adres, a ja doniosę panu, jak się rzeczy obróca. Skoro jednak na mnie spada ta ciężka misya powiedzenia Zawilowskiemu co się stało, zechciej mi ją pan ułatwić. Trzeba, żeby miał wiadomość nie od osoby trzeciej lub czwartej, ale od kogoś, co na wszystko patrzył. Usły-

szawszy o zajściu ode mnie, mógłby przypuścić, że rzecz przedstawiam niedokładnie. W takich razach człowiek chwyta się za każdy cień nadziei. Siądź pan i napisz do niego. Oddam mu pański list, na poparcie tego, co powiem. Inaczej, gotówby może polecieć za nimi do Scheveningen. Uważam taki list za rzecz absolutnie potrzebną.

— Czy on tu tymczasem nie nadejdzie?

— Nie. Ojciec jego jest chory, i on jest z nim razem. Mojego przyjazdu spodziewa się dopiero po południu. Napisz pan koniecznie.

— Masz pan słusność, zupełną słusność — rzekł Osnowski.

I siadł przy biurku.

— Ironia życia! ironia życia! — myślał tymczasem Połaniecki, chodząc w zburzeniu po przyległym pokoju. — Czemże, jeśli nie krwawą ironią jest to, co spotkało Zawilowskiego?... Czem jest taka panna Castelli ze swoją postacią łabędzia, a instynktami pokojówki, ta «wybranka boża», jak jeszcze wczoraj mówił Waskowski? Czem jest pani Broniczowa i Osnowski ze swoją wiarą w żonę, i ataki nerwowe tej żony, spowodowane samem zetknięciem się ze złem *tak czystej* duszy, i oburzenie pani Maszkowej?... Nic, tylko śmieszna komedia ludzka, w której jedni oszukują drugich, drudzy oszukują samych sie-

bie; nie, tylko oszukani i oszukujący; nie, tylko pomyłki, zaślepienie, błędy, życiowe kłamstwa, ofiary pomyłek, ofiary oszustwa, ofiary złudzeń, płatanina bez wyjścia; pocieszna i zarazem rozpaczliwa ironia, pokrywająca ludzkie uczucia, namiętności, nadzieje, tak jak śnieg pokrywa zimą pola — i oto życie!

I myśli te były dla Polanieckiego tem cięższe, że, powstając na podkładzie czysto osobistym, stawały się zarazem rodzajem obrachunku z własnem sumieniem. Był na to dość egoistą, by przystosowywać wszystko do siebie, a nie był dość głupim, by nie wiedzieć, że w tej przeironicznej komedyi ludzkiej odegrał rolę ogromnie nędzną. Położenie było tego rodzaju, że chciałby całą siłą tchu wygwizdać taką pannę Castelli, a jednocześnie rozumiał, że jeśli komu, to jemu, nie wolno nawet jej sądzić. W czymże on był lepszy? w czym mniej ohydny? Ona zdradziła człowieka dla durnia — on zdradził żonę dla bezmyślnej lalki. Ona poszła za swymi instynktami modniarki, on za swymi — pawiana. Ale ona zdeptała tylko sztuczne frazesy, którymi oszukiwała siebie i drugich, on zdeptał zasady. Ona zawiodła ufność, ale złamała tylko słowo — on zawiódł tak samo ufność, a złamał więcej niż słowo, bo przysięgę. A wobec tego co? Czy on ma prawo ją potępić? Jeśli zaś nie

ma możności jej usprawiedliwić, jeśli gotów uznać, że byłoby rzeczą niesprawiedliwą i oburzającą, żeby taka istota została żoną Zawilowskiego, to jakim prawem on jest mężem Maryni? Jeśli znajdzie choć jedno słowo potępienia dla panny Castelli (a niepodobna przecie go nie znaleźć), to w takim razie, chcąc być konsekwentnym, powinienby rozłączyć się z Marynią, czego jednak nie uczyni nigdy i nie byłby w stanie uczynić. Oto koło błędne! Połaniecki nieraz już przechodził przez gorzkie chwile, z powodu swego *sukcesu*, ale ta była tak ciężka, że aż przejęła go zdziwieniem. Stopniowo stała się wprost męką. W końcu przez prosty instynkt zachowawczy począł szukać czegoś, coby mu przyniosło choćby doraźną ulgę. Ale próżno mówił sobie, że na przykład tacy ludzie, jak Kopowski, nie braliby tak, w jego położeniu, rzeczy do serca. Byłoby mu taką samą pociechą, gdyby był pomyślał, że nie bralby tego także do serca kot, albo koń. Próżno przypomniał sobie słowa Balzaka: «Wiarołomstwo, gdy się nie wyda, jest niczem, gdy się wyda — błaźnizną». «Kłamstwo! — powtarzał, zaciskając zęby — dobre mi *nie*, które tak piecze!» Rozumiał wprawdzie, że poza samym faktem może być coś, co sam fakt robi więcej, albo mniej występny; ale rozumiał również, iż w jego

wypadku wszystkie okoliczności są takie, że winę czynią niezmierną i nieodpuszczalną. «Oto już teraz — myślał -- odejmuje mi ona prawo sądu, prawo posługiwania się sumieniem! Człowieka wyższego poświęcono dla durnia, zdeptano go, wepchnięto go w nieszczęście, w tragedję, która może go złamać; uczyniono to w sposób nędzny i płaski — a mnie zasie! nawet w duszy napiętnować taką pannę Castelli!» I nigdy dotąd nie stała mu się tak niemal dotykana ta prawda, że, jak za pewne występki można zostać pozbawionym udziału w życiu społecznem, tak on został pozbawiony udziału w życiu moralnem. Miał już dość zgryzot, ale teraz spostrzegł nowe jeszcze spustoszenia, których zrazu nie widział. W miarę, jak zastanawiał się nad tragedją Zawilowskiego i jak coraz lepiej ogarniał jej ogrom, poczynął go obejmować głuchy niepokój, podobny do przecucia, że na mocy jakiejś wyższej, tajemniczej logiki, i w jego losach musi zdarzyć się coś strasznego. Kto nosi w sobie zaród śmiertelnej choroby, dla tego śmierć jest tylko kwestją czasu.

Nakoniec jednak znalazł tę ulgę, że myśli jego zwróciły się wyłącznie do chwili obecnej i do Zawilowskiego. Jak on to przyjmie? jak przeniesie? Wobec egzaltacyi Zawilowskiego, wobec jego głębokiej, zaślepionej wiary w na-

rzeczoną i miłości, jaką dla niej czuł, były to pytania wprost groźne. «Wszystko się w nim podrze i wszystko usunie mu się odrazu z pod nóg» — myślał Polaniecki. Wydało mu się, iż jest coś wstrętnego i potwornego w tem, że nawet takie stosunki życiowe, które nie noszą w sobie zarodków tragedyi i które powinny się kończyć pomyślnie, kończą się bez dobrej przyczyny źle, i że życie jest jakby lasem, w którym nieszczęścia tropią człowieka, gorzej niż psy zwierza, bo tropią milczkiem. Polaniecki poczuł nagle, że prócz wiary w samego siebie, którą stracił oddawna, mogą się w nim zachwiać i rozmaite inne rzeczy, jeszcze ważniejsze, bo bardziej podstawowe. W tej chwili jednak myślał więcej o Zawilowskim, niż o czemkolwiek innem. Miał dobre serce, i Zawilowski był mu blizkim, więc się szczerze wzruszał jego niedolą. «A tamten pisze mu poprostu jakby wyrok — myślał, słysząc z przyległego pokoju skrzypienie pióra Osnowskiego. — Biedne chłopczysko!... I takie to wszystko niezasłużone!»

Osnowski skończył wreszcie list — i otworzywszy drzwi, rzekł:

— Pisałem oględnie, ale napisałem całą prawdę. Niech mu teraz Bóg doda sił! Czy ja się spodziewałem, że taką muszę mu zwiastować nowinę!

Ale pod jego szczerym smutkiem widać było jakby pewne zadowolenie z własnej roboty. Widocznie sądził, że się potrafił wypisać lepiej, niż się sam po sobie spodziewał.

— A teraz raz jeszcze powtarzam gorącą prośbę — rzekł: — byś mi pan doniósł choć parę słów o Ignasiu. Ach, gdyby to nie było tak irréparable! — dodał, wyciągając do Połanieckiego rękę — do widzenia! do widzenia!... Napiszę i do Ignasia, ale teraz muszę jechać, bo mnie żona czeka... Daj Boże zobaczyć się nam w szczęśliwszych czasach. Do widzenia! Pani najserdeczniejsze pozdrowienie.

I wyszedł.

— Co robić? — myślał Połaniecki. — Czy poprzestać na posłaniu listu Zawilowskiemu do jego mieszkania, czy szukać go, czy czekać tu? W takich chwilach wartoby go nie zostawiać samego, ale ja w wieczór muszę wracać do Maryni, więc i tak zostanie sam. Zresztą, kto mu zabroni schować się przed ludźmi? Jabym się także na jego miejscu schował... Muszę być u pani Emilii...

Czuł się tak zmęczony i tą niespodziewaną tragedją, i myślami o sobie, i myślą o ciężkiej roli, jaką mu wypadnie odegrać z Zawilowskim, że z pewnem zadowoleniem przypomniał sobie o tem, że musi być u pani Emilii, a następnie

odwieźć ją do Buczynka. Przez chwilę miał pokusę odłożyć widzenie się z Zawilowskim i oddanie mu listu do następnego dnia, pomiarkował jednak, że Zawilowski, nie zastawszy go w domu, mógłby wybrać się do Buczynka.

— Niech się lepiej dowie wszystkiego tu — rzekł sobie; — wobec stanu Maryni, trzeba zachować przed nią zupełną tajemnicę i o tem, co się stało, i o tem, co się stać może. Trzeba również uprzedzić wszystkich, by milczeli. Zawilowski najlepiejby zrobił, wyjeżdżając za granicę. Maryni powiedziałbym, że jest w Scheveningen, a później, że się tam rozmyślili i rozeszli.

Tu znów począł chodzić szerokimi krokami po pokoju i powtarzać:

— Ironia życia! ironia życia!

Poczem gorycz i wyrzuty przyplnęły mu nową falą do duszy. Ogarniało go dziwne uczucie, jakby jakiejs odpowiedzialności za to, co się stało. «Co u licha! — powtarzał sobie — przecie ja w tem przynajmniej nie zawiniłem!» Lecz po chwili przyszło mu do głowy, że jeśli oświście nie zawinił, to w każdym razie jest drzewem z tego samego lasu, co i panna Castelli, i że tacy, jak on, wytworzyli tę społeczno-moralną atmosferę, w której podobne kwiatki mogą

wschodzić, rozwijać się i kwitnąć. Na myśl o tem porywała go dzika złość.

Tymczasem w przedpokoju ozwał się dzwonek. Polaniecki był człowiekiem odważnym, jednakże na odgłos tego dzwonka czuł, że serce poczyna mu bić niespokojnie. Zapomniał, że umówił się ze Świrskim, iż razem pójdą na śniadanie, i w pierwszej chwili był pewien, że nadchodzi Zawilowski. Ochłonął dopiero, usłyszawszy w przedpokoju głos malarza, lecz tak był zmordowany, iż przybycie jego sprawiło mu przykrość.

— Ten dopiero rozpuści język! — pomyślał z niechęcią — ten będzie gadał!

Postanowił jednak powiedzieć mu wszystko, bo rzecz i tak nie mogła utrzymać się w tajemnicy. Chodziło mu zaś o to, by Świrski, na wypadek przyjazdu do Buczynka, wiedział, jak zachować się względem Maryni. Omylił się zresztą, przypuszczając, że Świrski będzie go dobijał teoryjami o niewdzięcznych sercach. Malarz wziął rzecz nie od strony ogólnych wywodów, ale od strony Zawilowskiego. Na wywody miał przyjść czas później; obecnie, słuchając Polanieckiego, powtarzał tylko: «A nieszczęście! a niech Bóg broni!» — chwilami zaś: «Niechże to piorun trzaśnie!...» — przyczem jego herkulesowe pięści zaciskały się z gniewu.

Połaniecki zaś unosił się stosunkowo i napadał na pannę Castelli bez miłosierdzia, zapominając, że tem samem wydaje wyrok i na siebie. Wogóle jednak rozmowa uczyniła mu ulgę. Odzyskał wreszcie i zwykłą zaradność. Pomyślał, że Zawilowskiego nie można jednak w takiej chwili opuszczać, począł więc prosić Świrskiego, by w zastępstwie odwiózł panią Emilię do Buczynka i wytlómaczył Maryni jego nieobecność powodami biurowymi. Świrski, który już nie miał po co jechać do Przytułowa, zgodził się najchętniej, i gdy zamówiony przez Połanieckiego powóz nadjechał, obaj udali się do pani Emilii.

Praca, nie będąca w żadnym stosunku do jej sił, którą jako Siostra miłosierdzia musiała spełniać, sprowadziła na nią chorobę krzyża. Znaleźli ją wychudłą i zmienioną, z twarzą przezroczystą i nawpół opadłemi powiekami. Chodziła jeszcze, ale wspierając się na dwóch laskach, i nie władnąc dokładnie ruchami nóg. Jak dawniej praca zbliżyła ją do życia, tak teraz choroba począła ją znów od niego oddalać. Żyła tylko w kole swych myśli i wspomnień, patrząc na sprawy ludzkie trochę jak przez sen, trochę już jakby z drugiego brzegu. Cierpiała bardzo mało, co lekarze uważali za zły znak; ale ona, poznawszy nieco jako Siostra

miłosierdzia różne choroby, wiedziała, że niema dla niej ratunku, a przynajmniej, że ratunek nie w mocy ludzkiej, i pozostała spokojna. Zapytana też przez Połanieckiego o zdrowie, odrzekła, podnosząc z wysileniem powieki:

— Źle chodzę, ale tak mi jest dobrze!

I było jej dobrze. Dokuczał jej jeden tylko moralny skrupuł. W duszy wierzyła najgłębiej, że gdyby pojechała do Lourdes, odzyskałaby z pewnością zdrowie, nie chciała zaś tego czyścić i ze względu na odległość Lourdes od grobu Litki, i ze względu na swoją nostalgię za śmiercią. Nie wiedziała jednak, czy ma prawo poniechać czegokolwiek dla podtrzymania danego jej życia, a zwłaszcza, czy ma prawo przeszkadzać lasce i cudom — i niepokoiła się tem.

Obecnie uśmiechała się jej jednak myśl zobaczenia Maryni, i była już gotowa do drogi; Świrski miał przyjechać po nią o piątej, tymczasem zaś obaj z Połanieckim poszli na umówiony obiad, Świrski bowiem, mimo całego przejęcia się sprawą Zawilowskiego, czuł się głodny, jak wilk. Przyszedszy, czas jakiś siedzieli w milczeniu, wreszcie Połaniecki rzekł:

— Chciałem pana prosić jeszcze o jedno, mianowicie: byś dał znać pannie Helenie o wszystkim, co zaszło, i zarazem powiedział jej, by nic nie mówiła mojej żonie.

— Dobrze, — rzekł Świrski — pójdę jeszcze dziś do Jaśmienia, niby spacerem, i postaram się ją zobaczyć. Jeśli mnie nie przyjmie, napiszę jej na bilecie, że chodzi o Zawilowskiego. Jeśli będzie chciała przyjechać tu, to ją odwiozę, bo ja w każdym razie dziś jeszcze wrócę.

Po chwili zaś spytał:

— Nie mówił też panu Osnowski, czy panna Ratkowska jedzie z nimi, czy też zostaje w Przytułowie?

— Nie mówił nic — odrzekł Polaniecki; — panna Ratkowska mieszka zwykle u swojej starszej krewnej, pani Mielnickiej. Jeśli pojedzie, to chyba dla towarzystwa pani Osnowskiej, której anielska natura dostała palpitacyi serca na widok tego, co się stało.

— Aa!! — rzekł Świrski.

— Tak. Innej racyi niema. Panna Ratkowska bawiła u Osnowskich dlatego, że niby Kopowski miał się o nią starać, a skoro Kopowski wystarał się o inną, więc dalszy jej pobyt nie miałby racyi bytu.

— Dalibóg, tak to coś bajecznego! — rzekł Świrski: — to, z wyjątkiem Osnowskiej, one tam wszystkie kochały się w tym dudku!

Polaniecki uśmiechnął się ironicznie i kiwnął

głową; na ustach uwięzły mu słowa: «bez wyjątku! bez wyjątku!...»

Lecz Świrski rozpoczął teraz swoje wywody o kobiecie, od których dotąd się powstrzymywał.

— Ot, widzisz pan! ot, widzisz pan! — mówił. — Ja znam Niemki, Francuzki, a zwłaszcza Włoszki; Włoszki na ogół mniej mają porywów, mniej wykształcenia, więcej temperamentu, ale są szersze i prostsze. Niech tego makaronu nie dojem, jeśli widział gdzie tyle fałszywych aspiracyi i taką niezgodność między naturą, która jest płaska, a frazesem, który jest wysoki. Żebyś pan wiedział, co taka panna Ratkowska mówiła mi o Kopowskim! Albo weź pan tę «Topólkę», tę «Kolumienkę», tę «Niteczkę», tę pannę Castelli. Lilia — co? byłbyś pan przysięgł? Mimoza — co? artystka? Sybilla? złoto-włosy i czarnooki ideał na długich nogach? — co? A ot, masz ją pan! Pokazało się! Wybrała nie człowieka, ale mydłką, nie mężczyznę, ale lalę. Jak przyszło co do czego, Sybilla zmieniła się w garderobianę. A ja panu powiadam, że one wszystkie palpitują do modnych mydłków — i niechże je piorun zapali!

Tu Świrski złożył swoją olbrzymią pięść i chciał uderzyć nią w stół, lecz Polaniecki zatrzymał ją w drodze i rzekł:

— Pozwolisz pan, że stało się jednak coś wyjątkowego!

Świrski począł się sprzeczać i utrzymywać, że «one wszystkie takie» — i że wszystkie wołą krawiecką miarę od fidyaszowskiej; stopniowo jednak począł przychodzić do równowagi i przyznał, że panna Castelli może być wyjątkiem.

— Pamiętasz pan, co panu mówiłem, kiedyś pytał o Broniczów? — rzekł: — ni zasad, ni charakterów, parweniuszostwo duchowe — nic więcej! On był dureń, a ja pan znasz... Bóg mnie ustrzegł, bo gdyby oni byli wówczas wiedzieli, że ja mam te jakieś głupie szpargały, których im brak, to nie byliby mi robili min, i mogłem się ładnie ubrać! Niechby mnie był las ogarnął!... Jak mnie pan widzisz, tak jadę z Zawilowskim za granicę, bo mam tego dość.

Zapłacili i wyszli. Na ulicy Świrski spytał:

— Co pan teraz robisz?

— Idę szukać Zawilowskiego.

— Gdzie go pan znajdziesz?

— Myślę, że u waryatów, u ojca, a jeśli nie, to będę na niego czekał w domu u siebie.

Lecz Zawilowski zbliżał się właśnie w tej chwili do restauracyi. Świrski spostrzegł go pierwszy z daleka.

— A ot, idzie! — rzekł.

— Gdzie?

— Po drugiej stronie ulicy. Jabył go o wiorstę poznał po jego szczęce. Powiesz mu pan wszystko zaraz? Jeśli tak, to odchodzę. Nie potrzeba wam świadków.

— Dobrze — rzekł Połaniecki.

Zawiłowski, spostrzegłszy ich również, przyspieszył kroku i stanął przed nimi, ubrany wykwintnie, prawie strojny, i z twarzą wesołą.

— Ojciec mój ma się lepiej! — zawołał nieco zdyszanył głosem, podając im ręce. — Mam czas i wpadam dziś do Przytułowa.

Lecz Świrski, uściskałszy silnie jego rękę, odszedł w milczeniu. Młody człowiek popatrzył za nim ze zdziwieniem i rzekł:

— Czy pan Świrski obraził się czem?

I spojrzawszy na Połanieckiego, spostrzegł dopiero, że i jego twarz ma jakiś poważny, niemal surowy wyraz.

— Co to znaczy? — spytał — czy co się stało?

Połaniecki zaś, wzięwszy go za rękę, rzekł głosem wzruszonył i serdecznył:

— Mój panie Ignasiu, uważałem pana zawsze nietylko za wyjątkowy talent, ale i za wyjątkowy charakter. Mam panu oznajnić bardzo złe nowiny, ale jestem pewny, że znajdziesz w sobie dość siły i nie poddasz się nieszczęściu.

— Co się stało? — spytał, zmieniawszy się w jednej chwili na twarzy, Zawilowski.

Połaniecki skinął na dorożkę i rzekł:

— Siadaj pan! ...Na most! — zawołał, zwracając się do woźnicy.

Poczem wydobyl list Osnowskiego i oddał go Zawilowskiemu.

Młody człowiek rozerwał pośpiesznie kopertę i zaczął czytać. Połaniecki z wielką tkliwością otoczył go ręką w pól, nie spuszczać oczu z jego twarzy, na której w miarę czytania odbijało się zdumienie, niewiara w to, co czytał, ogłuszenie, a przede wszystkim przestach bez granic. Policzki pobielaly mu jak płótno, widać jednak było, że, odczuwając nieszczęście, nie ogarnia go jeszcze i nie rozumie dokładnie, spojrzal bowiem na Połanieckiego, jakby bezmyślnie, i spytał zająkliwym, cichym głosem:

— Jakże?... jakże ona mogła?...

Następnie, zdjawszy kapelusz, poczał wodzić ręką po włosach.

Połaniecki zaś rzekł:

— Nie wiem, co panu napisał Osnowski, ale tak jest!... Tu niema już co umniejszać rzeczy. Miej pan odwagę powiedzieć sobie, że to się stało i stało niepowrotnie. Pana było dla niej szkoda — boś wart więcej, niż to wszystko. Są ludzie, którzy pana prawdziwie cenią i kochają.

Ja wiem, że to jest ogromne nieszczęście — i rodzony brat nie bolałby nad panem więcej, niż ja. Ale stało się!... Mój drogi panie Ignasiu! Oni pojechali Bóg wie gdzie. Osnowscy także. W Przytułowie nikogo niema. Ja rozumiem, co się w panu musi dziać, ale pan masz przed sobą lepszą przyszłość, niż z panną Castelli. Bóg pana do większych rzeczy przeznaczył — i z pewnością dał panu większą niż innym siłę. Pan jesteś solą ziemi. Pan masz wyjątkowe obowiązki i względem siebie i względem ludzi... Ja wiem, że trudno jest machnąć odrazu ręką na to, co się kochało — i tego od pana nie wymagam, ale panu nie wolno poddawać się, jak pierwszemu lepszemu, rozpaczy. Mój drogi, biedny panie!

Polaniecki mówił jeszcze długo i mówił z siłą, bo sam się wzruszył. Wypowiadał nawet w dalszym ciągu rzeczy nie tylko serdeczne, ale i rozumne: że nieszczęście ma to do siebie, iż stoi, a człowiek czy chce, czy nie chce, musi iść w przyszłość, więc odchodzi od niego coraz dalej. Wlecze się wprawdzie za człowiekiem nie bólu i pamięci, ale coraz cieńsza, albowiem siła rzeczy jest taka, że żyje się jutrem. Wszystko to było prawdą, ale drugą, daleko bliższą, daleko realniejszą i bardziej dotykalszą było to, o czem mówił list Osnowskiego. Poza tym fak-

tem istniały tylko puste dźwięki, odbijające się zewnętrznie o uszy, ale tak niezrozumiałe i — dla Zawilowskiego tak pozbawione wszelkiego sensu, jak turkot lub jak oddźwięk żelaznych krat mostu, przez który przejeżdżali obecnie z Polanieckim. Zawilowski mógł czuć i myśleć tylko w sposób ogromnie mętny, miał jednak poczucie, naprzód, że to, co się stało, jest wprost niemożliwem, a jednak jest, powtóre zaś, że on się żadną miarą na to zgodzić nie może i nigdy nie zgodzi — co jednak nie ma najmniejszego znaczenia. Na nic innego nie było w jego głowie miejsca. Nie umiał nawet uświadomić ani tego wszystkiego, co tracił, oprócz panny Linety, ani swego bólu, ani żalu, ani ruiny, ani pustki, ani utraty wszystkich podstaw życia; wiedział tylko, że panny Linety już niema, że go nie kochała, że go opuściła, że wyjechała z Kopowskim, że małżeństwo jego zerwane, że został sam, że to wszystko już się stało — i że on tego nie chce, jako rzeczy nieprawdopodobnej, niemożliwej i strasznej.

A jednak to się stało.

Dorożka poczęła jechać za mostem wolno, wymijali bowiem stado wołów pędzonych do miasta, a wśród ich ociężałego tupotu Polaniecki mówił dalej. O uszy Zawilowskiego odbijały się słowa: «Świrski, zagranica, Włochy, sztuka»;

ale on nie rozumiał, że Świrski, to znaczy znajomy człowiek, zagranica — wyjazd, a Włochy — kraj.. On teraz mówił pannie Linecie: «To dobrze, ale cóż ze mną będzie? Jak ty mogłaś o tem nie pomyśleć, że ja cię tak ogromnie kocham?» I przez chwilę wydało mu się, że gdyby ją zobaczył, że gdyby mógł jej powiedzieć, że z ludzkim bólem trzeba się liczyć, toby się rozplakała i rzuciła mu się na szyję. «Nas jednak tyle rzeczy łączy, — mówił jej — przecie ja jestem ten sam, twój...» I nagle wystająca szczeka poczęła mu drgać, na czole ukazały się żyły, a oczy zaszyły mgłą łez. Polaniecki, który miał nadzwyczaj dobre serce, i który prócz tego sądził, że potrafił go wzruszyć, objął go nagle za szyję i, sam wzruszony, począł go całować w policzek. Lecz rozrzewnienie Zawilowskiego nie trwało długo, albowiem wrócił do poczucia rzeczywistości. «Ja jej tego nie powiem, — pomyślał — bo jej nie zobaczę, gdyż odjechała ze swoim narzeczonym — z Korpowskim». I na tę myśl twarz skamieniała mu na nowo. Począł teraz lepiej uświadamiać całą doniosłość swego nieszczęścia. Uderzyła go po raz pierwszy myśl, że gdyby Lineta umarła, strata jego byłaby mniejszą. Otchłań śmierci zostawia wierzącym nadzieję wspólnego życia na drugim brzegu, niewierzącym — wspólność

nicości, a zatem nadzieję jakiegoś wspólnego losu i połączenia się. Przytem śmierć jest bezsilną wobec kochania, które idzie za grób; może drogą duszę zabrać, ale nie może nam zabronić jej kochać i nie może jej skazić — owszem, przebóstwiał ją i czyni nietylko kochaną, ale i świętą. A Lineta, odejmując Zawilowskiemu siebie, to jest najdroższą duszę, odjęła zarazem i nadzieję, i prawo kochania, i prawo żalu, i prawo tęsknoty, i prawo czci; odchodząc sama, zostawiła na domiar skażoną pamięć. Zawilowski uczuł teraz jasno, że jeśli nie potrafi przestać jej kochać, to tem samem będzie nędznikiem, a czuł, że nie potrafi! I z tą dopiero chwilą ogarnął cały ogrom spustoszenia, ruiny, męki. Z tą chwilą zrozumiał, że to jest więcej, niż można znieść.

Połaniecki zaś mówił:

— Jedź ze Świrskim do Włoch, przebolej, mój drogi, przecierp!... Inaczej nie może być. Ale świat jest szeroki! Tyle rzeczy do widzenia, do kochania! Przed tobą wszystko otworem. I przed nikim tak, jak przed tobą. Światu się od ciebie dużo należy, ale i tobie dużo od świata. Mój drogi! Jedź — życie jest naokoło, życie jest wszędzie; przyjdą nowe wrażenia, którym się nie oprzesz, i zajmą ci myśl, złagodzą ból. Nie będziesz się kręcił koło jednego wspomnienia.

Świrski pokaże ci Włochy. Zobaczysz, co to za towarzyszy i jakie ci horyzonty otworzy. Przytem powiem ci, że człowiek, jak ty, powinien mieć tę siłę, którą ma muszla perłowa, i wszystko zmieniać poprostu w perły. A teraz słuchaj, co ci mówi prawdziwy przyjaciel. Jedź, i to zaraz. Przynrzecz mi, że pojedziesz. Da Bóg mojej żonie szczęśliwie przebyć słabość, to może i my się tam na wiosnę wybierzemy. Obaczysz, jak nam będzie doskonale. Cóż, Ignasiu, przyrzecz mi — dobrze?

— Dobrze — odpowiedział Zawilowski, usłyszawszy ostatni wyraz, a wogóle nie wiedząc, o co chodzi.

— No, to chwalić Boga! — zawołał Polański. — Wrócimy teraz do miasta i spędzimy wieczór razem. Ja mam coś do roboty w biurze i wybrałem się na dwa dni.

To rzekłszy, kazał zawrócić, bo zresztą i słońce miało się pod zachód. Był śliczny dzień, taki, jakie zdarzają się w końcu lata. Nad miastem unosił się złotawy, delikatny pył; dachy, a zwłaszcza kościelne wieże, połyskiwały po brzegach jakby odblaskiem bursztynu i, rysując się czysto w przezroczem powietrzu, zdawały się w niem lubować. Czas jakiś jechali w milczeniu.

— Gdzie wolisz zajechać: do mnie, czy do

siebie? — spytał Polaniecki, gdy wjechali do miasta.

Ruch miejski zdawał się Zawilowskiego otrzeźwiać, spojrzął bowiem zupełnie przytomnie na Polanieckiego i rzekł:

— Od wczoraj nie byłem w domu, bom nocował u ojca. Może tam są jakie listy, więc jedźmy do mnie.

I Zawilowski dobrze przewidział, w mieszkaniu bowiem czekał go list od pani Broniczowej z Berlina. Zawilowski gorączkowo rozerwał kopertę i począł czytać, Polaniecki zaś, patrząc na mieniącą się jego twarz, pomyślał:

— I powiedzieć, że w nim tai się jeszcze coś nadziei.

Tu przyszedł mu nagle na pamięć ów młody doktor, który w swoim czasie mówił mu o panie Krasławskiej:

— Ja wiem, jaka ona jest, ale nie mogę od niej duszy odedrzeć...

Zawilowski skończył czytanie i, wsparłszy głowę na rękę, począł patrzeć bezmyślnie na stół i leżące na nim papiery. Wreszcie, ocknąwszy się, podał list Polanieckiemu.

— Czytaj pan — rzekł.

Polaniecki wziął list i czytał, co następuje:

«Wiem, że pan wierzył naprawdę w swoje uczucie dla Niteczki, i że w pierwszej chwili,

to, co się stało, wyda się panu nieszczęściem; niech mi pan też wierzy, że i mnie, i jej, nie łatwo przyszło zdobyć się na krok stanowczy. Pan może nie potrafił dobrze ocenić Niteczki (mężczyźni tylu rzeczy nie umieją ocenić), ale powinien ją pan był poznać przynajmniej tyle, żeby wiedzieć, ile ją kosztuje, gdy musi wyrządzić najmniejszą przykrość, nawet komuś obcemu. Ale trudno! taka jest wola boska, której grzech nie słuchać. Czynimy obie to, co nam sumienie nakazuje — i Niteczka zbyt jest prawa, żeby mogła oddać panu rękę bez prawdziwego przywiązania. To, co się stało, stało się nietylko zgodnie z wolą boską, ale zgodnie z dobrem pana i jej; gdyby bowiem, nie kochając pana dostatecznie, została pańską żoną, jakżeby mogła oprzeć się pokusom, na które taka istota z pewnością będzie wobec światowego zepsucia narażona? Prócz tego, pan ma swój talent, więc pan ma coś, Niteczka zaś tylko serce, które przymus złamałby w jednej chwili — i jeżeli się panu zdaje, że ona pana zawiodła, niech pan sumiennie pomyśli: czyja wina jest większa? Pan wiele złego wyrządził Niteczce, bo pan opętał jej wolę i nie pozwolił pójść za naturalnym popędem serca, a tem samem poświęcił pan, lub gotów był poświęcić przez egoizm jej szczęście, a nawet życie, jestem

bowiem przekonana, że w takich warunkach nie przeżyłaby jednego roku. Niech to panu jednak Bóg przebaczy tak, jak my obie przebaczymy — i niech pan wie, że dziś jeszcze modliliśmy się za pana na umyślnie zamówionej na pańską intencję mszy u św. Jadwigi.

«Pierścionek zechciej pan odesłać do willi Osnowskich; pański, ponieważ Osnowscy także mieli zaraz wyjechać, dojdzie pana przez ręce panny Ratkowskiej. Raz jeszcze, niech panu Bóg wszystko przebaczy i zachowa go w swojej opiece».

— To jest coś niesłychanego! — rzekł Polaniecki.

A Zawilowski odrzekł z rozdzierającym smutkiem:

— To widać z prawdy można to samo zrobić, co z miłości, a jam się tego nie domyślał.

— Słuchaj mnie, Ignasiu — odpowiedział Polaniecki, który pod wpływem współczucia począł mówić Zawilowskiemu *ty*: — to już kwestya nietylko twojego nieszczęścia, ale twojej godności. Cierp, ile chcesz, ale powinienes znaleźć siłę do okazania, że o to wszystko nie dbasz.

Nastało długie milczenie. Tylko Polaniecki, przypominając sobie list, powtarzał od czasu do czasu:

— To przechodzi ludzkie pojęcie!

Wreszcie zwrócił się do Zawilowskiego:

— Świrski wraca dziś jeszcze z Buczynka i późnym wieczorem wpadnie do mnie. Chodź i ty. Spędzimy wieczór razem i pogadacie o podróży.

— Nie, — rzekł Zawilowski — ja po powrocie z Przytułowa miałem spędzić noc u ojca — i muszę do niego iść. Jutro rano przyjdę do pana i zobaczę się ze Świrskim.

Mówił zaś tak, ponieważ chciał zostać sam. Połaniecki nie sprzeciwił się jego zamiarowi spędzenia nocy w zakładzie, sądził bowiem, że zajęcie przy chorym i opieka nad nim zajmą umysł Zawilowskiego, przytem zaś przyjdzie znużenie i potrzeba snu. Postanowił jednak odprowadzić go aż do zakładu.

Jakoż pożegnali się dopiero przy bramie. Zawilowski jednak, zabawiwszy kilka minut w zakładzie i wypytawszy się dozorca o ojca, wyszedł i ukradkiem wrócił do domu.

Zapaliwszy świecę, odczytał raz jeszcze list pani Broniczowej, i zakrywszy twarz rękoma, począł rozmyślać. Mimo listu Osnowskiego, i mimo wszystkiego, co mu powiedział Połaniecki, jakaś wątpliwość i jakaś nadzieja tały się istotnie w jego duszy. Wiedział, że *stało się*, ale chwilami miał takie uczucie, jakby to nie była rzeczywistość, tylko zły sen. Dopiero list pani

Broniczowej dotarł do tego jakiegoś kącika duszy, który jeszcze nie chciał wierzyć — i wypalił w nim resztę złudzenia. Tak! nie było już Linety, nie było przyszłości, nie było szczęścia! Posiadł to wszystko Kopowski, jemu zaś została tylko samotność, upokorzenie i okropna nicość. Zostało mu także wrażenie, że gdyby «Niteczka» mogła mu wydrzeć i talent, o którym wspominała pani Broniczowa, to byłaby wydarła i oddała Kopowskiemu. Czemże on był dla niej wobec Kopowskiego!? «Tego ja wprawdzie nigdy nie zrozumieć, — pomyślał — ale tak jest!...» I począł się zastanawiać, co w nim jest tak nędznego, żeby go tak poświęcić bez miłosierdzia, bez najmniejszej uwagi, żeby się mniej liczyć z nim, niż z najlichszym robakiem. «Czemu ona kocha Kopowskiego, nie mnie, któremu mówiła, że kocha?» I przypomniał sobie, jak mu niegdyś drżała w ramionach, gdy po zaręczynowym wieczorze oddawał jej dobranoc. A teraz drży tak samo w ramionach Kopowskiego. I na tę myśl, porwawszy chustkę, począł ją ścisnąć w zębach, żeby nie krzyknąć z bólu i wściekłości. «Co to jest? dlaczego się to stało?!» Był przecie czas, że on jej nie kochał; dlaczego wówczas nie wyszła za Kopowskiego? Co ona mogła mieć w tem, by go tak podeptać bez żadnej potrzeby?

I znów porwał za list pani Broniczowej, jakby spodziewając się znaleźć w nim odpowiedź na te straszne pytania. Przeczytał raz jeszcze ustęp o woli boskiej i o tem, że to on był winien, że on wyrządził wiele złego «Niteczce» — i o tem, że ona mu przebacza, i o mszy, która się odprawiała na jego intencję u św. Jadwigi, a skończywszy, począł patrzeć w świecę, mrugać oczyma i mówić:

— Jakto?... więc to tak można?... Co ja właściwie zawiniłem?

I nagle uczuł, że poczyna go opuszczać pojęcie, co jest prawda a co fałsz, co krzywda a co dobro, co słusność a co niesłusność. Odeszła od niego Lineta, zabrała mu siebie, zabrała przeszłość, a teraz poczęły się usuwać, jedna po drugiej, wszystkie podstawy życia — i rozum, i zmysły, i samo życie... Wiedział jeszcze, że on tę swoją Niteczkę zawsze kochał nad życie i że żadną miarą nie mógł chcieć jej krzywdy, ale poza tem wrażeniem, wszystko, co stanowi istotę myślącą, kruszyło się w nim na proch i jak proch rozlatywało się w tym ogromnym wietrze nieszczęścia.

Jednakże kochał. Lineta rozdawiała mu się teraz na dzisiejszą i dawną. Począł sobie przypominać jej głos, twarz, jasno-złote włosy, jej czarne oczy i usta, jej wysoką postać, ręce i to

ciepło, które tylekroć wyczuwał od nich ustami. Potężna jego wyobraźnia odtworzyła ją niemal dotykalnie i poznał, że nietylko tę swoją dawną kochał, ale kocha dotąd, że bez żadnej miary tęskni za nią i bez miary cierpi po jej stracie.

A poznawszy to, jął znów do niej mówić:

— Jakże ty mogłaś przypuszczać, że ja to potrafię przenieść?

W tej chwili nie miał też najmniejszej wątpliwości, że, naprzykład, Bóg wie to bardzo dobrze. Długi czas przesiedział jeszcze w milczeniu, i świeca była niemal do połowy wypalona, gdy się ocknął.

Ale wówczas stało się w nim coś nadzwyczajnego.

Miał takie wrażenie, jakby odbijał statkiem od lądu — i zdawało mu się, co wówczas zawsze się zdaje, że to nie on się oddala, ale że od niego odsuwa się ten brzeg, na którym dotąd przebywał. Wszystko, co było nim i wogóle jego życiem, wszystkie myśli, nadzieje i ambicje, cele, zamiary, nawet miłość, nawet panna Lineta, nawet jej strata — i te kola błędne, i te męki, przez jakie przeszedł, wydały mu się nie tylko już od niego oddzielone, ale jakby obce i wyłącznie do tamtego lądu należące. I stopniowo nikły, stopniowo topniały — coraz mniejsze, coraz bardziej widziadłowe, coraz podobniejsze

do snu; a on oddalał się, czując, że do tej obczyzny wrócić już nie chce, nie może — i że wszystko, co z niego zostało, należy do tego przestworu, który brał go w siebie i otwierał się przed nim — niezmierny i tajemniczy...

LVIII.

W cztery dni później, w dzień Wniebowzięcia Najśw. Panny, który był zarazem dniem imienin pani Połanieckiej, Bigielowie i Świrski przyjechali do Buczynka. Maryni nie zastali w domu, była bowiem wraz z panią Emilią na nieszporach w jaśmieńskim kościele. Pani Bigielowa, dowiedziawszy się o tem, udała się z całą gromadką Bigieląt za niemi. Mężczyźni, pozostawszy sami, rozmawiali o wypadku, o którym od kilku dni rozmawiało całe miasto, to jest o usiłowanem samobójstwie Zawilowskiego.

— Byłem u niego dziś trzeci raz, — rzekł Bigiel — ale służba panny Heleny Zawilowskiej ma rozkaz niedopuszczania nikogo, prócz lekarzy.

— I mnie — rzekł Połaniecki; — dziś pierwszy raz nie mogłem go odwiedzić, ale poprzednich dni spędzałem codzień u niego po kilka

godzin. Żonie mówię, że przesiaduję w biurze dla interesów.

— Powiedz mi, jak to się stało? — spytał Bigiel, który chciał wiedzieć wszystkie szczegóły, by je potem dokładnie po swojemu rozważyć.

— Stało się tak, — odrzekł Polaniecki — że Ignas powiedział mi, iż idzie do zakładu obłąkanych do ojca. Byłem z tego rad, bom sądził, że go to oderwie od rozmyślań. Odprowadziłem go jednak aż do bramy, i obiecał mi, że naza jutrz do mnie przyjdzie. Tymczasem pokazało się, że chciał się mnie pozbyć, by sobie spokojnie w łeb strzelić.

— Więc ty nie pierwszy go znalazłeś?

— Nie. Nie przypuszczałem nic podobnego i byłbym go czekał do jutra. Na szczęście, panna Helena przyjechała na samą wieść o zerwaniu małżeństwa...

— Ja jej dałem o tem znać, — przerwał Świrski — i tak to wzięła do serca, że ażem się zdumiał — jakby przeczuwała co się stanie!

— To dziwna istota — rzekł Polaniecki. — Nie mogłem się wywiedzieć, jak to było, dość, że ona pierwsza go znalazła, ona pierwsza dała mu ratunek, ona pierwsza wezwała całą czeredę doktorów — i wreszcie kazała go przynieść do siebie.

— Ale lekarze utrzymują, że będzie żył?

— Właściwie nie dotychczas nie wiedzą. On musiał przy strzale pochylić broń, tak, że kula, przebiwszy czoło, poszła ku górze i zatrzymała się pod czaszką. Znaleźli i wyjęli ją dość łatwo, ale czy będzie żył — a jeśli będzie, to czy umysł jego ocaleje — nie wiadomo. Jeden z lekarzy obawia się zaburzeń w mowie, ale teraz chodzi jeszcze o życie.

Wypadek, jakkolwiek ogólnie już znany i opisywany dotychczas codziennie przez gazety, czynił zawsze wrażenie tak wielkie, iż czas jakiś trwało milczenie. Świrski, który przy swych muskułach atlety miał kobiecą wrażliwość, przybladł nieco i wybuchnął:

— Przez takie — kabotenki!

Lecz siedzący obok profesor Waskowski rzekł z cicha:

— Zostaw je pan bożemu miłosierdziu.

— Proszę cię, — rzekł Bigiel, zwracając się do Polanieckiego — a ty nie podejrzewałeś?

— Ani mi do głowy nie przyszło, żeby miał sobie w łeb strzelić. Oczywiście, widziałem, że się z sobą łamie. Przez chwilę, gdyśmy jechali, poczęła mu się broda trząść, jakby chciał wybuchnąć płaczem, ale to harda dusza. Pohamował się zaraz i pozornie uspokoił. Głównie zwiódł mnie obietnicą, że nazajutrz przyjdzie.

Po chwili zaś mówił dalej:

— Wiecie, co mi się zdaje? Oto, że taką ostatnią kroplą, która przelała naczynie, był list Broniczowej. Ignas dał mi go do czytania: napisała mu, że to wola boska, a wina po jego stronie, że był egoistą, one zaś idą za głosem sumienia i prawości, że mu przebaczą i proszą Boga, żeby mu także przebaczył, słowem: niesłychane rzeczy! Widziałem, że to zrobiło na nim rozpaczliwe wrażenie — i wyobrażam sobie, co się musiało dziać z człowiekiem, tak skrzywdzonym i tak egzaltowanym, gdy w dodatku zobaczył, że to jemu przypisują krzywdę, gdy zrozumiał, że wszystko można sponiewierać, odwrócić, że można podeptać rozum, prawdę, najprostsze zasady słuszności — i zasłonić się Panem Bogiem. Mnie to przecie nie dotyczyło, a gdy obaczyłem ten cynizm, czy też ten brak moralnego zmysłu, dalibóg, zadałem sobie pytanie: czy ja zwaryowałem, czy też na świecie prawda i uczciwość są tylko złudzeniem?

Tu Połaniecki począł targać gorączkowo brodę, tak wzburzało go samo wspomnienie listu pani Broniczowej, Świrski zaś rzekł:

— Rozumiem, że gdy nawet jest się człowiekiem wierzącym, w takich chwilach można plunąć na życie.

Lecz Waskowski począł trzeć ręką czoło i następnie ozwał się, jakby sam do siebie:

— Tak. Widziałem i takich... Bo są ludzie, którzy wierzą nie z miłości, ale jakby tylko dlatego, że ateizm zbankrutował... jakby z rozpacz. Kto sobie wyobraża, że tam gdzieś, za zjawiskami, jest, nie Ojciec miłosierny, który kładzie rękę na każdej nieszczęsnej głowie, ale jakiś On, niedostępny, niezbadany i obojętny — wtedy wszystko jedno, czyby się powiedziało: absolut, nirwana — wtedy On jest tylko pojęciem, nie miłością — i nie można go kochać, a gdy przyjdzie nieszczęście, to się pluje na życie.

— To dobrze, — odpowiedział opryskliwie Świrski — ale tymczasem Zawilowski leży z rozbitą czaszką, a one pojechały sobie gdzieś nad morze i dobrze im.

— Skąd pan wie, że im dobrze? — spytał Waskowski.

— Pal je lichy!

— A ja panu mówię, że to są nieszczęśliwe kobiety. Nie wolno bezkarnie deptać prawdy. One będą wmawiały jedna w drugą różne rzeczy, ale jednej wmówić nie potrafią, to jest szacunku dla siebie; poczną sobą po cichu pogardzać — i w końcu nawet to przywiązanie, jakie

do siebie mają, zmieni się w skrytą niechęć. To musi nastąpić.

— Pał je licho! — powtórzył Świrski.

— Miłosierdzie boże jest dla złych, nie dla dobrych — zakończył Waskowski.

Tymczasem Bigiel rozmawiał z Polanieckim, podziwiając dobroć i odwagę panny Heleny Zawilowskiej.

— Bo to z tego będą ludzkie gadania, bajeczne — rzekł.

— Ona o to nie dba — odpowiedział Polaniecki. — Ze światem się nie liczy, bo nic od niego nie chce. To także harda dusza. Zawilowskiemu okazywała zawsze wyjątkowe przywiązanie, a jego postępek musiał ją okropnie wstrząsnąć. Wiecie?... Historya Płoszowskiego?...

— Znałem go osobiście — rzekł Świrski. — Ojciec jego przepowiedział mi pierwszy w Rzymie, że wypłynę... O panie Helenie mówiono bogdaj, że była narzeczoną Płoszowskiego.

— Nigdy nią nie była, ale podobno w skrytości serca kochała go ogromnie. Takie już miał szczęście... To pewna, że od jego śmierci zupełnie stałą się inną. Dla kobiety, tak wierzącej, jego samobójstwo istotnie musiało być strasznym ciosem, bo co to jest — nie móż się nawet modlić za człowieka, którego się kochało!... A teraz znów Zawilowski!... Jeśli kto, to ona, zrobi wszystko,

żeby go uratować. Wczoraj, jak tam byłem, wyszła do mnie ledwie żywa — blada, zmęczona, niewyspana. A tam przecie jest komu go pilnować. Panna Ratkowska mówiła mi o niej, że od czterech dni spała może godzinę.

— Panna Ratkowska? — zapytał żywo Świrski.

— Tak! Zapomniałem powiedzieć: dowiedziała się z gazet o wypadku i tego samego dnia przeniosła się do panny Heleny, żeby czuwać nad Zawilowskim. Biedactwo, także podobniejsze do cienia, niż do człowieka.

— Panna Ratkowska!... — powtórzył Świrski.

I począł mechanicznie szukać ręką w kieszeni od surduta pugilaresu, w którym nosił jej bilet.

Przypomniął sobie teraz jej słowa: «*Wybrałam inaczej — i jeżeli nigdy nie będę szczęśliwa, nie chcę przynajmniej wyrzucać sobie później, że byłam nieszczerą*». Teraz dopiero zrozumiał i znaczenie, i rzeczywistą tragedję tych słów. Oto, wbrew wszelkim światowym względom, nie dbając na języki ludzkie, ta młoda dziewczyna poszła teraz pilnować tego samobójcy. Cóż to mogło znaczyć? Rzecz była jasna, jak słońce. Wprawdzie Kopowski wyjechał z inną, ale ona mówiła zawsze otwarcie, co myśli o Kopowskim,

a gdyby Zawilowski był jej obojętny, nie szłaby teraz przecie czuwać u jego łóżka.

— Zdaje się, że ja jestem osiel! — mruknął Świrski.

Lecz nie był to jedyny wniosek, do którego po dojrzałszej rozwadze doszedł. Nagle objęła go tęsknota za panną Ratkowską, żal, że się to nie stało, co się mogło stać, i wielka, bezgraniczna litość nad nią: «Spudłowałeś znów, stary dziku, — mówił sobie dalej — i dobrze ci tak! Ale dobry człowiek byłby czuł litość, a ty począłeś zgrzytać; posądzałeś ją o miłość dla durnia, o udawanie aspiracyi, o płaską naturę; obgadywałeś ją przed panią Polaniecką i przed nim; krzywdziłeś słodkie i nieszczęsne stworzenie, nie dlatego, by cię jej odmowa zbyt bolała, ale przez miłość własną. Dobrze ci tak! dobrze! Jesteś osiel, jesteś jej niewart i będziesz się kołatał sam do śmierci, jak mandryl za kratą w menażeryi».

Była w tych zarzutach część prawdy. Świrski nie kochał się na dobre w pannie Ratkowskiej, ale jej odmowa ubodła go głębiej, niż sam przyznawał — i nie umiając zapanować nad swą goryczą, wdawał się w ogólne wywody o kobietach, cytując pannę Ratkowską, jako przykład — z ujmą dla niej.

Teraz zaś poznał całą czczość podobnych

wywodów. — «Te głupie syntezy gubiły mnie zawsze — myślał. — Kobiety są to indywidua, jak wszyscy ludzie — i pojęcie ogólne: kobieta, nie nie objaśnia. Jest taka panna Castelli, jest taka pani Osnowska, w której przypuszczam rozmaite szelmostwa, nie mając zresztą na to dowodów; ale z drugiej strony, jest pani Polaniecka, pani Bigielowa, jest siostra Aniela i panna Helena, i panna Stefcia. Biedne dziecko — i dobrze mi tak! Ona się tam po cichu martwiła, a jam zgrzytał. Jeżeli taka dziewczyna nie jest dziesięć razy więcej warta ode mnie, to słońce nie jest warte mojej fajki. Miała świętą rację, dawszy odkosza takiemu bawolowi. Pojadę sobie na Wschód i baśta! Takiego światła, jak w Egipcie, niema na świecie!... I co to jest uczciwa kobieta! Przecie ona zrobiła mi dobrze nawet swoją odmową, bom się przez nią przekonał, że moje teorye o kobietach można psu o grzbiet potluc. Ale żeby panna Zawilowska postawiła cały pułk dragonów przed drzwiami, to muszę tamtą biedaczkę zobaczyć i powiedzieć jej, co o niej myślę».

Jakoż nazajutrz udał się do domu panny Heleny. Nie chciano go wpuścić, ale nastawał tak, że wreszcie został przyjęty. Panna Helena, sądząc, że powoduje nim wyłącznie przyjaźń i troskliwość, wprowadziła go nawet do pokoju,

w którym leżał ranny. Tam, w mroku zapuszczonych rolet, ujrzał Zawilowskiego, od którego bił zdaleka zapach jodoformu, z obwiązaną głową i z wystającą szczęką, a przy nim te dwie kobiety wymęczone, z gorączką od bezsenności w twarzach, i rzeczywiście do dwóch cieniów podobne. Zawilowski leżał z otwartymi ustami, zmieniony, nic do siebie niepodobny, jakby bez porównania starszy, z opuchliną na powiekach, wychylających się z pod bandażu. Świrski polubił go był bardzo — i przy swej wrażliwości miał dla niego nie mniej współczucia od Polańckiego lub Osnowskiego — jednakowoż uderzyła go teraz jego szpetność. — «Ten się dopiero urządził» — pomyślał, poczem, zwróciwszy się do panny Heleny, spytał półgłosem:

— Nie odzyskał przytomności?

— Nie — odpowiedziała szeptem.

— Cóż doktor mówi?

Panna Helena poruszyła swemi wychudłemi dłońmi, na znak, że wszystko jeszcze niepewne, poczem szepnęła znowu:

— Dziś piąty dzień...

— I gorączka mniejsza — dodała panna Ratkowska.

Świrski chciał ofiarować swoje usługi do pilnowania chorego, ale panna Zawilowska wskazała mu oczyma młodego lekarza, którego zrazu nie

mógł w mroku dostrzedz, a który, siedząc w fotelu obok stołu z miednicą i stosami jodoformowej waty, drzemał ze zmęczenia, czekając, póki drugi go nie zmieni.

— Mamy dwóch, — szeptała panna Ratkowska — a prócz nich, ludzi z domu zdrowia, którzy umieją obchodzić się z chorym.

— Panie ogromnie się jednak męczą.

— Tu chodzi u chorego!... — odpowiedziała, spoglądając w stronę łóżka.

Swirski poszedł za jej wzrokiem. Oczy jego przyzwyczaiły się już lepiej do mroku, i dojrzał teraz wyraźnie twarz Zawilowskiego, nieruchomą, z wargami prawie czarnymi. Długie jego ciało było również nieruchome, tylko palce wychudłej ręki, leżącej na koldrze, poruszały się jednostajnym ruchem, jakby ją drapiąc.

— Wywiozą go za parę dni, jak Bóg na niebie! — pomyślał, wspominając swego koleżę, owego «Słowianina», z którym droczył się swego czasu Bukacki, a który, strzeliwszy sobie w głowę, zmarł dopiero po dwóch tygodniach męki.

Chcąc jednak dodać otuchy kobietom, rzekł wbrew temu, czego był pewien:

— Tego rodzaju rany, albo zaraz są śmiertelne, albo się leczą.

Panna Helena nie odpowiedziała nic, tylko

twarz ściągnęła się jej kureczowo i usta pobladły. Widocznie w jej duszy taila się straszna myśl, że on *także* może umrzeć, a nie chciała jej dopuścić. Miała dość jednego tamtego samobójstwa — i zarazem chodziło jej o coś więcej, niż o uratowanie Zawilowskiemu życia.

Swirski począł się żegnać. Wchodził tu z przygotowaną przemową do panny Ratkowskiej, której postanowił się przyznać, że ją niesłusznie posądzał, wyrazić całą cześć, jaką dla niej żywił, i prosić o przyjaźń, ale wobec rzeczywistej tragedyi tych dwóch kobiet, wobec tej grozy śmierci i tego pół-trupa, uznał natychmiast, że wszystko, co miał zamiar powiedzieć, było liche, małe, i że tu na takie marne, osobiste rzeczy nie pora.

Przycisnął tylko do ust w milczeniu rękę panny Heleny, a następnie panny Ratkowskiej — i wyszedłszy z tego pokoju, przesyconego nieszczęściem i jodoformem, odetchnął głęboko.

W jego malarskiej wyobraźni przedstawił się teraz wyraźnie Zawilowski, zmieniony, o dziesięć lat starszy, z obwiązaną głową i czarnymi wargami.

I pomimo całego współczucia, jakie dla niego miał, chwyciło go nagle oburzenie.

— Przedziurawił sobie czaszkę — mruknął — przedziurawił talent — i ani dba! A tamte, nie-

bogi, dusze z siebie wywłóczą i trzęsą się jak liście.

Poczem ogarnęło go jakby uczucie zazdrości, jakby żal nad samym sobą i jął monologować:

— Cóż, stary! A gdybyś ty naprzykład zapakował sobie w swój talent kawałek ołowiu, niktby przy tobie nie chodził na palcach!

Dalsze rozmyślenia przerwał pan Pławicki, który, spotkawszy go na skřęcie ulicy, zatrzymał i począł rozmawiać.

— Ja dopiero z Karlsbadu — rzekł. — Panie! ile przystojnych kobietek! Dziś jadę do Buczynka... Widziałem już Połanieckiego i wiem, że córka zdrowa; ale on się jakoś ściagnął.

— Bo miał zmartwienie. Słyszał pan o Zawilowskim?

— Słyszałem! słyszałem! A cóż panie? co pan na to?

— Nieszczęście!

— Nieszczęście, ale i to, że dziś niema zasad. Wszystko to te nowe wymysły, te wasze ateizmy, hipnotyzmy, socyalizmy. Młodzież nie ma zasad — ot, co!...

KONIEC TOMU DWUDZIESTEGO PIERWSZEGO.



„Tygodnik Ilustrowany“ daje rocznie przeszło 1200 ilustracji, oraz bezpłatne reprodukcye kolorowe obrazów artystów naszych.

W „Tygodniku Ilustrowanym“ drukują się stale jednocześnie **dwa utwory** powieściowe i nowelistyczne **oryginalne** cenniejszych autorów polskich.

W dodatku powieściowym, dołączanym w arkuszach, daje Tygodnik utwory powieściowe głośniejszych pisarzy obcych.

Każdy prenumerator

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

otrzyma w r. 1900 bez żadnej dopłaty
dalszych

12 tomów dzieł Sienkiewicza

w nowem wydaniu, obejmującym w 10-cio arkuszowych tomach **wszystkie utwory** autora „**QUO VADIS**“.

Oprawa 12 tomów Dzieł Sienkiewicza wynosi rs. 2 (złr. 2.40); w tym stosunku na oprawę 6 tomów dołączać należy rs. 1 (złr. 1.20); na oprawę 3 tomów kop. 50 (cnt. 60).

Pierwszych 12 tomów, zawierających:

Szkice węglem, Stary sługa, Hania, Janko muzykant, Listy z Ameryki, Z Puszczy Białowieskiej, Bez dogmatu, Jamiol, Organista z Ponikły, Listy z Rzymu, Wenecyi, Paryża, Komedia z pomyłek, Sachem,

mogą nabywać czytelnicy nasi za dopłatą rs. 5 (złr. 6.50), w oprawie rs. 7 (złr. 8.90) za 12 tomów. Przesyłka kop. 80.

Prenumerata „Tygodnika Ilustrowanego“ wraz z dodatkiem powieściowym i 12-tu tomami dzieł H. Sienkiewicza wynosi: w Warszawie rocznie rub. 8; z przesyłką pocztową w Król. i Ces. kwart. rub. 3, półrocznie rub. 6, rocznie rub. 12, zagranicą: rocznie rs. 13, półrocznie rs. 6 kop. 50, kwartalnie rs. 3 kop. 25.

W Krakowie kwartalnie 3.30 złr., we Lwowie kwartalnie złr. 3.60, a w Galicyi z przesyłką poczt. kwartalnie złr. 3.75. W Poznaniu rocznie Mk. 24, z przes. pocztową w Cesarstwie Niemieckim Mk. 30.

Adres Administracyi „Tygodnika Ilustrowanego“:

Krakowskie Przedmieście, 17, Warszawa.

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

78957 L-P

Biblioteka WSP Kielce



0226133